

WIBLIOTEKA
INSTYTUTU BALSZYŃSKIEGO
W GDANSKU

BIBLIOTEKA
INSTYTUTU BALSZYŃSKIEGO
W GDANSKU

Uniwersytetu Gdańskiego
Biblioteka

ew 9013

Cena zł 20

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 23 stycznia 1949 r.

Nr 3 (165)

TREŚĆ NUMERU: Z naszego stanowiska; J. Majkut: Niedźwiedzi fenomen; D. Horodyński: Z notatnika podróży; F. L. Grabarze Francji; Z. Lichniak: Debiut J. Ficowskiego; H. Krajewska: Waclaw Rzezacz - Krawędź; J. Dobraczyński: Na Morzu; Tydzień kulturalny; F. M. Nowowiejski: List z Poznania; M. A. Wasilewski: Temat do dyskusji o ewolucji; Czytelnik uważa, że...

Andrzej Micewski

ROZWAŻANIA IDEOLOGICZNE

Mówiliśmy już nieraz, że socjalizm rozumiany jako zespół ustrojowych tendencji całkowania i uspołeczniania własności jest w okresie obecnym jedynie adekwatny socjologicznie. W trwającym światowym konflikcie między liberalnym kapitalizmem a socjalizmem, w wypadku prawidłowego a nie wstecznego rozwoju procesów socjologicznych, wydaje się być pewne zwycięstwo tego ostatniego, jako socjologicznie późniejszego. Niedorzecznością bowiem i oportunistycznym wsteczniem (oportunistycznym wobec powobów życia epoki mieszczańskiej) byłoby przypisywać i życzyć zwycięstwa formom życia społecznego wcześniejszym nad późniejszymi. Tak dyktuje nieubłagany proces prawidłowego rozwoju socjologicznego. I trzeba go rozumieć, a nie powodować się przywiązaniem do jakichkolwiek przejściowych form społecznych.

Socjologia zna wprawdzie procesy przystosowania wstecznego, ale nie mamy żadnych danych, by te właśnie przywidywać.

Toteż kiedykolwiek mówilibyśmy krytycznie o formach ustroju socjalistycznego (a idealnych form zapewne żaden ustrój w swojej epoce nie ma) winniśmy pamiętać o niezatrąceniu proporcji w krytyce. Proporcji między deprecjonowaniem pewnych form tego ustroju a krytyką i ostatecznym zdyskwalifikowaniem form ustroju liberalnego. Nie zachowanie bowiem tej proporcji może niepotrzebnie odwracać umysł ludzki od zrozumienia twardej i nieodwracalnej konieczności socjologicznych, a wpadając w niechorobliwy kult dla form starego porządku. Tym bardziej, że ten stary porządek bazował na elementach bardzo trudnych do wyrugowania z psychiki ludzkiej. Własność indywidualna, wynikające z niej poczucie siły, niezależności jednostki, wszystkie blaski życia burżuazyjne to są czynniki, dla których ludziom trudno jest zerwać z pojęciami starego porządku. Własność miała niewątpliwie wartości, a wynikające z niej możliwości nieprzeparaty urok. Niedarmo już Arystoteles a za nim św. Tomasz z Akwinu wskazywali na jej związek z naturą

ludzką, ba nawet uzasadniali jej nie rozdzielną. Wydaje się to dalej aktualne odnośnie własności dóbr konsumcyjnych. W pewnych okolicznościach trudno byłoby wyobrazić sobie jakikolwiek rozwój bez istnienia własności indywidualnej. Słusznie pisze Marks i inni myśliciele socjalistyczni, że nawet liberalizm kapitalistyczny był w swoim czasie czynnikiem postępu. Własność indywidualna przez długie wieki jej wykonania bardzo silnie związała się z naturą ludzką. *Censuetudo est altera natura* — pisał już Arystoteles. Ale wspomniani wielcy myśliciele: Arystoteles i św. Tomasz nie mogli w swoich epokach przewidzieć, że własność przyniesie z sobą, poza aktualnym już wówczas wysiłkiem społecznym, takie zjawiska, jak przesilenia gospodarcze, będące jednymi z pierwszych przyczyn imperializmu, że wreszcie gospodarstwo indywidualne w miarę wzrostu ludności i postępu techniki stanie się anachronizmem ekonomicznym, oraz że ludzkość wejdzie w epokę nie indywidualnego, a ogólnospołecznego planowania. To wszystko zaś wywoła socjologiczną tendencję całkowania i uspołecznienia własności.

Mimo rozumienia tego zawsze liczyć się musimy, że idea własności indywidualnej wskutek długotrwałego jej wykonywania oraz za spakajania przez nią pewnych pierwiastków hedonistycznych w psychice człowieka, długo jeszcze będzie pokutować w przekonaniach ludzkich. A niewątpliwie możemy stwierdzić, że rewolucja rugująca posiadanie indywidualne na rzecz wspólnego jest jedną z największych rewolucji w dziejach ludzkości. Zastanawiałbym się nawet, czy można by ją postawić w jednym rzędzie z przemianami, jakie dokonywały się w okresie znoszenia niewolnictwa.

Nowy okres rozwoju socjologicznego — epoka socjalistyczna, staje się już konkretną rzeczywistością społeczną, ale formy jej będą stale podlegały prawu ewolucji, słowem będą się różniczkowały.

Tutaj pozwolę sobie na małą dygresję. Mianowicie wydaje mi się,

że rozwój życia społecznego podlega dwóm prawom: prawu rewolucji i prawu ewolucji. I nie ma w tym bynajmniej specjalnego paradoksu. Po prostu ludzkość wchodzi przeważnie drogą rewolucji w pewne określone formy społeczne. Do piero potem następuje okres ewoluowania tych form, ich kształcenia się i uszlachetniania, a dalej powolnego przeżywania się i wyrodnienia. Wreszcie okres zupełnej dekadencji i kryzysu kultury wytworzonej w oparciu o te formy społeczne. I te zjawiska rodzą bunt-pierwszy zaczyn nowej rewolucji. Chęć zniszczenia przeżytych form i koncepcje nowego socjologicznie adekwatnego porządku społecznego. Następuje rewolucja, która niszczy przeżyte formy i rysuje kontury, główne wytyczne nowego, znów ewoluującego układu społecznego.

Powracając do różniczkowania się form życia społecznego w epoce socjalistycznej, należy podkreślić, że będzie to proces trwający długie lata. Szybkość jego zależy będzie w dużej mierze od szybkości zwycięstwa nowego porządku nad starym, słowem od opanowania świata przez socjalizm. Trudno bowiem przypuścić, by mogły ustąpić pewne, nawet bardzo ostre formy nowego porządku, zanim się on nie ugruntuje i nie pozbedzie ostatecznie czynnika kontrrewolucji

Istnieje odwieczne zagadnienie przeciwstawności kolektywizmu z indywidualizmem a w ujęciu filozofii chrześcijańskiej obu tych kierunków z personalizmem. Nie ulega wątpliwości, że dla katolika podstawowym problemem w nowej epoce jest przepojenie socjalizmu tymi wszystkimi elementami, które zapewnią wolny, swobodny rozwój doskonałej się osobowości ludzkiej, w myśl doktryny personalistycznej. To jest sprawa, nad którą będziemy pracować koncepcyjnie i praktycznie. Ale z tym wszystkim nie wolno nam zapominać i nie liczyć się z socjologicznymi tendencjami, jakim podlega większy lub mniejszy zakres wolności jednostki. Wolność ta konkretnie nie może być zawsze jednakowa i pełna. W okresach nadchodzenia i ugruntu-

wywania się nowego porządku bywa zawsze ograniczana a nawet niweczona, czasem bardzo brutalnie. Po tem formy coraz bardziej łagodnieją, dla wolności jest coraz więcej miejsca, aż do osiągnięcia jej pełni wynikającej z danego układu społecznego. Istnieje ciągle, nieprzerwany proces zwiększania i zmniejszania się wolności jednostki, maleńcia i wzrostu supremacji zbiorowości. To jest nieprzeparata logika procesów socjologicznych.

W naszym rozumieniu socjalizm nie jest związany integralnie z materializmem filozoficznym. Jesteśmy przekonani, że w ustroju socjalistycznym może być realizowany postulat wolności, wynikły ze spirytualistycznego poglądu na świat. Ale wszelkie przemiany wymagają dłuższego i skomplikowanego procesu socjologicznego.

Zagadnienie wolności jest ściśle związane z formami gospodarowania w ustroju socjalistycznym. Chodzi tu o stanowisko jednostki wobec podmiotów gospodarujących, o stopień jej niezależności i zakres swobodnej decyzji. Formy spółdzielcze wysuwane dziś w dziedzinie rolnictwa w Polsce wydają się tu bardziej celowe od innych. W ogóle socjalizm poza formami gospodarki uspołecznionej zna jeszcze formy gospodarki upaństwowionej. Świadomość istnienia tych dwu form w socjalizmie jest istotna. A to z uwagi na modny wobec tej ideologii zarzut — kapitalizmu państwowego.

Jednocześnie podkreślamy, że i form gospodarki upaństwowionej nie można sprowadzać do zagadnienia kapitalizmu państwowego, gdyż mają one w określonym zakresie swoje uzasadnienie społeczne i ekonomiczne.

Ideologowie i twórcy nowego porządku ponoszą zawsze wielką odpowiedzialność przed historią. Są oni bowiem tą awangardą nowych czasów, od której umiaru, roztropności i finezji zależy nasilenie i rodzaj wstrząsów związanych z przemianami. Dlatego bywają oni przez historię wynoszeni do miana bohaterów: dobroczyńców ludzkości, ale bywają i potępiani.

Wielkim niebezpieczeństwem dla każdej rewolucji jest doktrynerstwo. Grozi ono kostnieniem i wynaturzeniem się form. Znamienne są tu obok innych wypowiedzi słowa współczesnego największego autorytetu obozu marksistowskiego, generalissimusa J. Stalina, który na VI Zjeździe RSDRP powiedział: „Istnieje marksizm dogmatyczny oraz marksizm twórczy. Ja stoję na gruncie tego ostatniego”. (cyt. za A. Schaff — Wstęp do teorii marksizmu str. 22).

Doktrynerstwo zwykle wstrzymuje prawidłowy rozwój nowego porządku. Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że doktryna jest tym czynnikiem, który zapoczątkowuje i zaprowadza rewolucję i że jest ona do niej konieczna.

Natomiast niebezpieczeństwo polega na utożsamianiu doktryny z postępowaniem. BOWIEM żadna sztywna doktryna o założeniach w porządku przyrodzonym, doczesnym nie może być stałym wyrazem postępu, nawet gdyby w etapie historycznym określonym była prawdziwa i wyrażała postęp.

Powyższe uwagi łatwo mogą doprowadzić nas do końcowych wniosków natury już zupełnie ogólnej.

Życie społeczne podlega w swym rozwoju zespołowi tendencji, które nauka określa jako prawa socjologiczne. Konieczną rzeczą jest we wszystkich rozważaniach, czy działalność ideologiczną liczenie się z tymi tendencjami socjologicznymi, a nie obłądne i bezskuteczne przeciwstawianie się im. Z drugiej strony dla działacza ideowo-politycznego i w ogóle dla każdego nieobojętnego społecznie i ideowego człowieka ważny jest spokój i rozważa, płynące ze znajomości perspektyw socjologicznych. To uchroni go od wszelkich odruchów i przejawów hysterii w życiu społecznym. Wprowadzi właściwą atmosferę krytyki przeżytych form i przekonanie o konieczności ulepszenia nowych. Pozwoli wreszcie rozumieć i przezwyciężać psychicznie wszystkie trudności załamania i ostre konflikty, jakie niosą z sobą zwykle czasy rewolucji.

Andrzej Micewski

Dmi 59/052

Z naszego stanowiska

Generał odszedł — co pozostało

Akurat dwa lata temu — w początkach stycznia 1947 — niemalą sensacją polityki międzynarodowej stał się fakt dość nieoczekiwane odwołania ze stanowiska Sekretarza Stanu USA min. Byrnese'a i mianowania jego następcą ni mniej ni więcej tylko Marshalla. Generał od dawien dawna, polityka od kilkunastu miesięcy, kiedy to Marshall uprost z biura szefostwa sztabu armii pojechał do Chin z tradycyjną amerykańską misją: uspokojenie wojny domowej na drodze kompromisu zabezpieczającego żywotne interesy USA. Misja Marshalla, skończyła się fiaskiem, nie mniej powołano go na stolec Sekretarza Stanu. Otworzyło to pole rozległych domysłów. Jedni sądzili, iż Marshall — to wzmoczenie ingerencji USA w sprawę Chin, to zwrócenie specjalnego oka na Daleki Wschód, ze zlekceważeniem Europy. Inni obawiali się uintensywnienia antyradzieckiej, pro-niemieckiej polityki zapoczątkowanej przez Byrnese'a. Jeszcze inni sądzili, iż znany z okresu wojny i czasu Roosevelta przeciwnik Churchilla, jakim był Marshall (nie kto inny tylko on właśnie będąc narzędnikiem zmarłego prezydenta służył do obalenia snuty przez Churchilla planów bałkańskiej inwazji) — teraz, w roku 1947 będzie raczej łagodził politykę Byrnese'a, raczej szukał porozumienia z ZSRR i krajami ludowej demokracji. Pomylili się pierwsi i trzeci.

Marshall przyleciał z Chin do Waszyngtonu usposobiony jako najgorzej do reżimu Czang-Kai-Szeka, zarzucając mu korupcję. Istotny zarzut był zapewne innego rodzaju: Czang-Kei-Szek nie potrafił zorganizować silnego i skutecznego oporu przeciw wojskom Chin demokratycznych. Broń amerykańska dostarczana do Nankinu ładowała wśród żołnierzy wojsk ludowych. Interwencja w sprawę Chin była trudną, gdyż odbywać się musiała na wielkim dystansie oceanicznym. Nie mogła ograniczyć się do niewielkiego rozmiaru, jeśli chciała być skuteczną. A interwencja większa stałaby się nadzbyt widoczna, wynikłby międzynarodowy skandal. A w planach USA nie leżała jeszcze ciągle wojna o Chin. W tym stanie gruntowanie wpływow USA w Chinach musiało iść etapami raczej politycznymi i gospodarczymi, aniżeli interwencyjnymi i zbrojnymi. Układy polityczne, kulturalne i gospodarcze z rządem Czang-Kei-Szeka w istocie gwarantowały i powiększały decyzje USA w sprawach Chin — nie były jednak w stanie nakłonić oficerów chińskich do wyprowadzenia rzetelnego swych obywateli a chińskich żołnierzy do efektywnej walki. W rezultacie — Kuomintang Chiński był dla USA workiem bez dna. Marshall wróciwszy do Waszyngtonu zdaje się, że ograniczył bardzo wydatnie pomoc militarną dla Chin. Od tego też momentu datuje się zwrócenie bacznej uwagi USA na Japonię (może nawet Koreę?) jako bazy polityki amerykańskiej (jak również armii) na Dalekim Wschodzie. W dwadzieścia miesięcy potem jak został Sekretarzem Stanu — chińska armia ludowa podbiła Mandżurię i Chiny pół-

nocne — niemal całkowicie. Nie karta chińska była więc przyczyną wezwania Marshalla do kierowania polityką USA.

Również nie doprowadził Marshall do pacyfikacji stosunków z ZSRR. Przeciwnie. Rację mieli ci, co przewidywali iż z zapalczywym generałem polityka antyradziecka wyjdzie na mniej dyplomatyczne szranki. Tak się też i stało. Dwuletni okres władzy Marshalla — to czas niezwykłego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej. Przypomnijmy: raz po raz zrywano się i rozchodzono się bez rezultatu sesje ministrów zagranicznych wielkiej czwórki; ONZ tworzy swe Kadłubowe — antyradzieckie — Male Zgromadzenie i w ogóle obraduje bez istotnego rezultatu. Niemcy zostają przepełowione na dwie części, zdeptano uchwały Poczdamu, Berlin stał się polityczną groteską, założono doń „most powietrzny“ — cała polityka USA w ostatnim czasie (sprawa rokowań w Moskwie w lecie, oddanie sporu o Berlin do Rady Bezpieczeństwa) była nastawiona na przedłużanie sporu o Niemcy, na umacnianie ich rozdzielenia; wreszcie stworzono „plan Marshalla“, który za jednym zamachem pragnął ubić dwie zdobycze — skonsolidować Europę Zachodnią wokół amerykańskiej polityki zagranicznej i stać się narzędziem bardzo impetywnego imperializmu gospodarczego USA.

Marshalla „zasługa“ jest ostateczne ugruntuowanie rozłamów świata na dwa wielkie obozy: obóz socjalistyczny na czele z Z. S. R. R. i obóz kapitalistyczny kierowany przez USA.

I w takim momencie nastąpiła dymisja Marshalla. Więcej nawet: dymisja Lovetta, jego zastępcy. Następcą Marshalla został Dean Acheson — dawny, za czasów Hulla, podsekretarz Stanu. Co mogło być przyczyną tej zmiany? Zdrowie — jako motyw ustąpienia Marshalla — nie jest motywem rezygnacji Lovetta. Zresztą w zdrowie tak mało się wierzy na rynku międzynarodowej polityki!!! W grę mogą wchodzić dwie przyczyny. Albo Truman rzeczywiście zamierza zmienić kurs swej polityki wobec ZSRR na bardziej kompromisowy, albo też odejście Marshalla spowodowane jest sprawami czysto personalnymi. Tutaj wypada przypomnieć, że Truman powołał Marshalla i paru innych generałów do rządu swego w kilka tygodni po klęsce wyborczej demokratów. Przez dwa lata — od listopada 1946 — Truman, prezydent demokratyczny, rządził przy kongresie republikańskim. Trudna sytuacja polityczna na którą konstytucja USA od czasu do czasu naraża swych prezydentów. Trzeba było — obliczając już swe szanse wyborcze roku 1948 — zneutralizować personalnie swój gabinet. Wojskowi — zwłaszcza po wygranej wojnie — znakomicie się do takich kombinacji nadają. do tego gdy są — jak Marshall — bezpartyjni. To było bodaj najistotniejszą przyczyną pozostania Marshalla. Jak bardzo Marshall jako polityk działał na rękę Trumanowi? Czy wierząc — za znacznym odłamem

Niedźwiedzi fenomen

(reportaż tylko dla przyrodomanów)

Szosa lubelska na osiemdziesiątym którymś kilometrze (w stronę Bugu) rozwidlając się w ulice Pierwszego Maja i Akademicką — wykreśla foremną trójkąt, oparty podstawą o zabudowania Akademii: Zamojskiej i kościół św. Katarzyny.

Jeszcze po pierwszej wojnie światowej był to dziki, publicznie deptany plac. Po środku, niczym otyła przekupka — drzemała poważna już wiek em wierzb. od strony ulic pilnowały ją kasztany i brzoźki. Z pobliskiego stółwiska furmanek (przy resztkach Bramy Lubelskiej) — wiatr nie szedł śmieci, ani specyficznych zapachów: była to cała osobliwość placu...

Ojcowie hetmańskiego grodu długo nie mogli się zdecydować co na tym trójkacie wybudować. Były projekty ogrodzenia zalesienia, zielenica, boiska itp. ale nic właściwie nie zrobiono. Prawdopodobnie trójkąt pozostał do dziś zwykłym „malomiasteczkowym „deptakiem“, gdyby nie...

JEDEN CZŁOWIEK

podówczas młody profesor gimnazjalny — poeta, marzyciel, rozkończony namiętnie we Florze i Faunie. Ten swawolny kochanek, wbrew wszelkiej logice i okolicznościom ubrał sobie sprawę, że stworzyć na tym szkolnym placu nie siatkówkę, nie koszykówkę — ale ogród przyrodniczy. „Przyrodniczy, to znaczy taki, w którym znalazłby miejsce nie tylko przyrodzone ludzkie skłonności ale też rośliny, ptaki, gady, czworonogi i skrzydłaki.

Każdy, ktokolwiek widział podobne ogrody w kraju lub zagranicą, zdaje sobie sprawę, że stworzenie „takiego czegoś“ z niczego — w granicach możliwości jednego człowieka i w dodatku w tak niedużym mieście jak Zamość — nie jest „przy zdrowych zmysłach“ ani łatwe, ani prawdopodobne. A jednak... uparciu miłośnik wszelkiego stworzenia, będąc właśnie z tych, co to choć luźno marzyć, nie kończą na marzeniach — potrafił tego cudu dokonać.

opinii amerykańskiej w zwycięstwo republikanów nie pracował zgóry na ich rachunek? Bardzo prawdopodobne, zwłaszcza gdy się pamięta spór o podróz moskiewską sędziego Visconta. Wydaje się, że dymisja Marshalla łączy się przede wszystkim z wygraną Trumana i jego partii, — odpędzają oni od siebie tych, do wzięcia których na wóz zmusiła tylko niemila taktyka. Czy oznacza to zmianę linii polityki światowej USA? Można się liczyć z pewnym złagodzeniem ostrości tej polityki — nie należy rachować na jej łatwą i zasadniczą zmianę. Wyborcy amerykańscy głosowali nie na Wallaca, lecz na Trumana, autorkę „doktryny Trumana“ będącej swego czasu fundamentem „planu Marshalla“. Doktryna, która jednak próbowała ustanawiać globalną supremację USA, co zresztą zgodne jest z linią rozwojową polityki amerykańskiej, a nawet — mamy wrażenie — pewnego, nie tak małego, odłamu amerykańskiej ludności, uprawionej przez wygnanie dwóch wojen światowych w nastrój protekcyjnej wielkości wobec innych krajów i ludów kuli ziemskiej. To nie jest tylko sam Truman i nie tylko sam Marshall. Dlatego też choć generał i jego pomocnik odeszli — nie wolno ludzi się, że nastąpi jakaś zasadnicza zmiana. Metody działania mogą ulec tylko złagodzeniu, a to może przynieść nawet okresowe odprężenie w międzynarodowej polityce.

(beta)

Rozpoczął w roku 1919 od pesymistycznego krakania miejscowych wron; od żab, jaszczurek, wiewiórek, od kamyków, kaktusików i motyli.

PO 10 LATACH

ciężkiej, naukowej i fizycznej pracy dokonał tyle, że przy dorywczej, choć czasem również bardzo entuzjastycznej pomocy rozradowanych gimnazjalistów „dziki trójkąt“ zmienił się do niepoznania; był szczerle ogrodzony, zadrzewiony, zacieniony. Pod siwym włosami staruchy wierzby była już licznie przez „wodniaków i błotniaków“ zamieszkała sadzawka. Pod wysokimi drzewami — wysokie, szerokie „przestrzenie“ dla kruków, orłów i kań — zaś podszycie tej młodej dżungli połykiwało ślepiami: przerażonych krajowych i egzotycznych drapieżników. Na wolnych przestrzeniach radowała się w słońcu zielona systematyka lodyżek i badyłaków. Ogród miał również wystarczającą na własne potrzeby szklarnię.

W drugim dziesiątku lat, mówiąc do rymu — w ogrodzie były już „niedźwiedzie, małpy, lwy, tygrysy, cedry, palmy i cyprysy“ — razem prawie pół tysiąca okazów (gatunków) flory i bezmała sto gatunków fauny.

Dla młodzieży szkół zamojskich i sąsiednich powiatów był to najciekawszy ze wszystkich podręczników, bo żywy, kwitnący i ryczący „podręcznik“ botaniki i zoologii, do którego najbardziej dopasowała się nazwa

„ZAMOJSKIE ZOO“

Do tego ZOO, jak do jakiegoś miejsca pielgrzymki zjeżdżały nie tylko szkoły z Lubelszczyzny, nie tylko miejscowe pułki wojaków i „inteligencja“, ale wstępował tłum nie także chłopcy przyjeżdżający na targ z owocami i kumoszki z serem.

Każdy przez uiszczenie minimalnej opłaty wstępu — drobnymi datami w naturze — pomagał radośnemu twórcy w utrzymaniu i wyżywieniu wiecznej „głodnej“ i coraz liczniejszej menażerii.

Ślawa jego rosła i wlewała się nawet do najczystszych zakątków. Wędrowali tu na bosaka również z odległych wiosek chłopcy od krów, aby zobaczyć „prawdziwe goryle“ i rozstrzygnąć powzięty w lesie zakład: „kto głośniej ryczy“ — krowa, niedźwiedź, czy lew?

Nie jeden z takich „zakładników“ — moźoląc się nad odczwanianiem trudnych, nazw zwierząt i roślin — właśnie w tym ogrodzie zapragnął nauczyć się czegoś więcej, niż wymagało od niego środowisko krów...

SMIERĆ ZWIERZĄT RATUJE ŻYCIE PROFESORA

Okres okupacji był dla zamojskiego ZOO niemniej tragiczny, jak dla całej Zamojszczyzny. Jedną z przyczyn nieszczęścia zwierząt było to, że profesor poza ogrodem uprawia również... poezję. Nie nałogowo wprawdzie, z amatorstwa, lecz wystarczyło, że w ostatnim roku przed wojną umieścić w zamojskiej „Prawdzie“ kilka wierszy niepoehlebnych dla „Imperium Germanicum“.

Oskarżony o zbytnią nienawiść do Niemców — w zimie 1940 roku znalazł się, jak i redaktor tego pisma — w Lublinie „na Zamku“. Redaktor nie powrócił już stamtąd. To samo groziło profesorowi...

Dyrektorem ogrodu w międzyczasie został Niemiec Klaus (fryzjer z zawodu). Zwierzęta pozbawione fachowej opieki zaczęły masowo padać. Trzeba przyznać, że Niemcy bardziej przejmowali się losem zwierząt jak ludzi. Gesapo pod warunkiem codziennego meldowania się zezwoliło na powrót profesora i objęcie stanowiska dozorcę. W ten sposób przyrodnik ocalał.

Jednak w czasie jego nieobecności padł niedźwiedź tybetański, jelen, wydry, papugi i wiele innych pomniejszych okazów.

W miejscu, gdzie była wspaniała systematyka kilkunastu gatunków roślin — owoc dwudziestoletniej pracy profesora — Klaus kazał „chwasty“ jako rzecz nieciekawa — przekopać i urządzić, stosownie do swych fryzjerskich zamiłowań — równo „strzyżony“ trawnik (mający dla trawożernych dostarczać paszy).

Pod koniec wojny wiele zwierząt zginęło od bomb a lwy i małpy zimą 1945 r. padły ofiarą niesumienności nowozaangażowanego dozorcę.

BOCIAN PRZY KOMINKU

Trzydzieści lat pracy nie może pójść na marne: z tym samym zapalem co w roku 1919, ale z większym doświadczeniem — zacy pedagog wszystkie wolne godziny od wykładów w gimnazjum — poświęca drapieżnikom w Ogrodzie i stara się znowu doprowadzić przetrzebianą dżunglę do dawnej świetności.

Naprawiono już pogruchotane klatki. Odbudowano „mieszkanie“ dla węzów i jaszczurek. Przybyły orły, wydry, dzik, sarny, sarny, lisy, borsuki, kuny, tchórze i coraz więcej skrzydlatych i czworonogich obywateli z różnych stron świata — otrzymuje nakazy kwaterekunowe na osiedlenie się w zamojskim ZOO.

Ostatnio za pośrednictwem syna profesora (oficer marynarki) — przy była tu z lasów brazylijskich, według określenia jednego z gimnazjalistów „babka naszego rodu“ (jako że człowiek pochodzi od małpy). Miłe to stworzenie, nie przyzwyczajone jeszcze do klimatu — sublokują tymczasem prywatnie.

Podobnie też urządził się bocian: zeszedł do izdebki dozorcę. Właściwym obiektem jego zainteresowań jest kominek. Stojąc na jednej nodze — całym godzinami „zapuszczając“ w rozżarzone węgle to jedno, to drugie oko i snuje tęskne dumki. O czym... Zapewne o siostrach i braciach wolnych w krainie słońca — czy spotka ich jeszcze kiedyś...

Wielką radością i sławą Zamościa jest...

RODZINA BRUNATNYCH NIEDŹWIEDZI

Ojciec przybył tu w roku 1928 z Hamburga i liczy obecnie 26 lat. (biedak już ociemniały). Zona jego, o trzy lata młodsza — pochodzi rodem z Poznania. W roku 1932 urodziły im się pierwsze bliźnięta. Potem mieliwali co dwa lata trojaczki, — a czasem nawet czworaczki, w podwójnym tego słowa znaczeniu.

Ogółem do chwili obecnej wydali na świat odchowali 25 sztuk zdrowego potomstwa. Jest to, u niedźwiedzi w ogrodach zoologicznych sui generis — fenomen.

Obszernie i ciekawie o przykładnym życiu tej rodziny, godnej za rodzicielskie zasługi co najmniej dwukrotnego odznaczenia — napisał w „Lowcu Polskim“ — sam ich zany opiekun. Pisała na ten temat również prasa codzienna. Raz z okazji ostatnich urodzin i raz, gdy para dorosłych „wnuków“ przeszła pod „de pache“ po ogrodzie... Był strach na miasteczku. Milicia przy furtkach, a tymczasem „groźni“ spacerowicze zachowali się bardzo przyzwyczajeni: przechodząc obok klatek niektórych mieszkańców dżungli — brunatni gentlemani podawali grzecznie poprzez kraty swoje prawice i lewice sąsiadom na powitanie. Niekiedy dochodziło między nimi do czułych szepcowań, a nawet już z wikami i kunami do szczerych pocałunków. Coś niby w legendarnym raju.

Profesor, który był cały czas w ogrodzie i odważnie zaprosił znowu „panów do mieszkania“ na owoc wyrósł tego dnia w oczach całego miasta na serdecznego pogromcę.

Dobre ułożenie pupilków „zdecydowało“ o tym, że jeden z misiów sprezentowany został przez profesora — dyrektorowi Zablińskiemu do Stołicy. Drugi z grzecznej dwójki przeznaczony jest do Wrocławia.

Imne z braci i siostr powędrują do innych miejscowości na zamiane, aby w zamojskim ZOO mogły być nie same niedźwiedzie, ale, jak dawniej, również małpy, lwy, tygrysy...

Latem wszystkie te stwory potrafią same „zapracować“ na swe utrzymanie. Zimą jednak, gdy frekwencja odwiedzających zmniejsza się — konieczna jest

POMOC ZIMOWA

która profesor organizuje na rzecz mieszkańców ZOO poprzez odczyty, zabawy itp. Czasem spieszy z pomocą Samopomoc Chłopska (słoma, siano). Niekiedy wpadną odpadki z reżni miejskiej lub wdepnie jakiś zajeżdżony koń... Nie zawsze jednak wystarcza to na zaspokojenie wszystkich potrzeb ogrodu i wówczas... potrzebna jest pomoc zimowa.

Józef Majkut

Dominik Horodyński

Z NOTATNIKA PODRÓŻY

Nie dotrzymałem danej sobie obietnicy i przez kilka dni nie ruszyłem notatnika. Popędzany wyrzutami sumienia, wróciłem dzisiaj wcześniej z miasta i postaram się pisać tym razem o Anglikach. Już dwa tygodnie — i nie pierwszy raz korzystam z ich gościnności, więc wymaga tego zwyczajna uprzejmość.

Jeżeli zacznę banalnie od sławnej złej kuchni angielskiej, to nie po to, by się z Anglików naigrywać. Przeciwnie. Jest coś imponującego w nonszalancko - sportowym stosunku Anglików do wygod i drobnych przyjemności ciała. Kuchnia jest okropna i mieszkania zimne, dlatego, że Anglik takich szczegółów nie zauważa — wie, że w życiu są sprawy ważniejsze. I, mimo że przeciętny Brytyjczyk ma większą „znajomość świata, krajów — ludzi”, od przedstawiciela jakiegokolwiek innego narodu, nie może na zastosość do niego następującego wiersza Słowackiego: „i wiele tego wszystkiego co ludzi”. Anglik brzydzi się blichtrzem.

Zacząłem od kuchni, bo niestety nie jestem tak wyzwolony od pokusa ciała i gruntownie obrzydło mi jado w Layonsa. Wybrałem się więc dzisiaj na obiad do Koziola, firmy niegdyś lwowskiej, od paru lat rezydującej na Oxford Street i cenionej przez smakoszy londyńskich, oczywiście, głównie Polaków. W milczeniu, w towarzystwie emigranta anglo-foba spożywałem skromny befsztyk, popijając ciemnym piwem. Nagle mój towarzysz poderwał się na krzesło i zawołał:

— „Jedyna pociecha to to, że ci łobuzy będą wszyscy potępieni!”

Nie podejrzewałem nigdy mego znajomego o specjalne zainteresowanie dla zagadnień wieczystych, i z tym większym zdziwieniem zapytałem:

— Ależ kto, proszę pana?

— „Jako kto? — Anglicy”.

— Za co? — pytam zaniepokojony.

— „Wstydziliby się pan! Za co? To wszystko na szczęście heretycy!”

— Cóż my wiemy o miłosierdziu bożym? — odpowiadam cytatem z Grahama Greena.

— „No, no, mój panie. Każde miłosierdzie ma swoje granice. I to już wiemy na pewno, wszyscy będą w piekle!”

Wydawszy wyrok, uspokojony i nie odczuwając żadnych wątpliwości mój znajomy zamówił drugą porcję mięsa. Nie zauważył nawet, że wpędził mnie w stan rozterki, ponieważ znowu zaczęło mnie dręczyć pytanie, skąd tak rozplenił się na świecie gatunek ludzi nie odczuwających wątpliwości. Jest ich coraz więcej, można spotkać ich wszędzie i choć wyznają najbardziej obce sobie poglądy, należą do tego samego, coraz powszechniejszego gatunku.

Na szczęście ktoś się do nas przyśiadł przerywając mi tok myślenia opowiadaniem jakiegoś lokalnego dowcipu. Zrozumiałem, że zagadnieniem braku wątpliwości nie warto się gwałtownie przejmować, ponieważ nie opuścił mnie prawdopodobnie przez całe życie.

Wstałem i zadzwoniłem do mojego przyjaciela, stałego mieszkańca Londynu, zapraszając go na kawę i rozmowę o Anglikach. Spotkałem się w kawiarni polskiej. On mówił, a ja robiłem notatki. Jednak

dość uczciwie ujawniam ten szczegół, tym uczciwiej, że notatek niestety zrobiłem mało.

A tymczasem z Anglikami istotnie sprawa jest skomplikowana. Wielu mieszkańców kontynentu, Francuzów, Holendrów, Włochów itd. pisząc o Brytyjczykach wyrażało żartobliwą wątpliwość, czy w ogóle można zaliczyć ich do istot ludzkich. Bo czy należą do rodzaju ludzkiego istoty nie ujawniające nigdy swoich uczuć, odzywające się półgębkiem i głównie w sprawach dotyczących pogody, zachowujące taki sam znużono - dostojny wyraz twarzy stojąc w niekończących się ogonkach, jak i we wszystkich innych, czasem zdawałoby się znacznie zabawniejszych okolicznościach życia. Ten typ Anglika dotychczas najpopularniejszy na kontynencie reprezentuje określoną warstwę społeczną, której przedstawiciele formowali się w public schools'ach i colledgiach. Dzisiaj i w W. Brytanii za czynną pojawiają się reprezentanci innych warstw społecznych, znacznie bardziej w pojęciu europejskim ucłowieczeni. Jest to jednym z objawów towarzyszących specyficznej rewolucji przeżywaną przez Anglię. Socjalizm angielski ma charakter reformistyczny, czym drażni rasowych rewolucjonistów, utrudniając im nieraz właściwą ocenę powagi rewolucji angielskiej.

Niektórzy twierdzą, że pojęcie „charakter narodowy” jest pojęciem reakcyjnym. Nie podzielałem tego zdania, sądząc, że charakter narodowy powstaje pod wpływem szeregu czynników sprawdzalnych i obiektywnie istniejących, a właściwych tylko danemu narodowi, poczynając chociażby od klimatu czy wspólnych przeżyć historycznych i kulturalnych. Oczywiście charakter ten może ulegać zmianom pod wpływem wypadków, lub być świadomie zmieniany i kształtowany przez światło i długotrwałe kierownictwo, oparte o jakąś ciągłą w czasie ideologię. Przykładem przypadków, może być bitwa pod Białą Górą, która wpłynęła decydująco na zmianę charakteru narodowego Czechów. Możliwe, że Druga Wojna Światowa i Powstanie Warszawskie będą przypadkowym punktem zwrotnym w wypadku polskim — co zresztą, daj Boże. Przykładem zmian wynikających z świadomie aplikowanej ideologii, mogą być chociażby różnice w charakterach narodowych narodów katolickich i protestanckich. Niektórzy marksści wierzą, że posiadają uniwersalne panaceum na wyrównanie różnic różnic charakterów narodowych i zlanie ich w przyszłości w jedną całość. Być może, ale pozo- stanie jeszcze sprawa temperamentu, leżąca u podstaw każdego charakteru, a już Napoleon mawiał, że można zmienić przekonania i na-rodowość, ale nie sposób zmienić temperamentu.

Temperament angielski jest raczej flegmatyczny. Anglicy nie lubią ruchów ani czynów gwałtownych. Są typowymi empirykami i każdą rzecz muszą dokładnie poznać i sprawdzić nim ją zastosują. Mają wstręt do idei generalnych i najwyższą nieufność do sztywnych ideologii i doktrynizmu. Nie znoszą zawiłych dysput intelektualnych. Z tego powodu intelektualiści kontynentalni na ogół ni zbyt dobrze czują się w Anglii. Również wielu Polaków - emigrantów zachowało na anglofobię nie tylko z przyczyn żalów politycznych, ale dlatego, że naszych kawiarnianych

intelektualistów doprowadza do szału angielski sposób rozumowania i dyskusowania i po prostu nie mogą z Anglikami rozmawiać.

Labour Party składa się z ludzi, którzy nazywają siebie socjalistami, mimo, że nie opierają się o doktrynę Marksa.

Kariera socjalizmu angielskiego była błyskawiczna i nie ma on za sobą takich lat walki i krwi, jak robotnicze ruchy kontynentu. Wszyscy dzisiejsi przywódcy Labour wyszli z tzw. fabjanizmu. Była to mała grupa tworząca „Fabian Society”, założona przed kilkudziesięcioletni laty przez małżeństwo Sidney i Beatrice Webb. Owdowiła starszka, pani Webb, jest dzisiaj jakby matką rządzącej partii.

Mimo zabarwienia tradycji ruchu robotniczego pewną patriarchalnością, wpływającą również z dłu kowieczności Anglików (angielski polityk dochodzi zwykle do władzy w wieku, w którym Polak już dawno jest w grobie), reformy społeczne przeprowadzane są w sposób bardzo konsekwentny. Labour Party zrozumiała, że W. Brytania z kraju przewodzącego światu w wielkiej rewolucji przemysłowej przeobraziła się w kraj zacofania społecznego i technicznego i że tylko gruntowna przebudowa dotychczasowej struktury gospodarczo-społecznej może ją uratować. Cóż to zresztą znaczy uratować? — Anglia spada z bardzo wysokiego konia i trudno się dziwić, że nie wszyscy Brytyjczycy chcą ten fakt zrozumieć. Epoka kolonialna dobiega końca i żadne reformy społeczno-gospodarcze nie umożliwią utrzymania dotychczasowej stopy życia mieszkańców wyspy, opartej o wyzysk ras kolorowych. Gdyby Anglicy dzisiaj zdecydowali się pójść drogą marksizmu, musieliby zrezygnować z imperium, z dalszego subsydiowania english stile of life najemną pracą kolorowych. United King Dominion przestało by istnieć, zostałaby Anglia 40-milionowy kraj o dość ograniczonych zasobach surowcowych. Anglik byłby takim samym człowiekiem, jak oby watele różnych innych niedużych narodów. Trochę trudna droga dla ludzi mających głębokie poczucie herren-volku, znacznie głębsze niż Niemcy, choć inaczej dają mu wyraz. Trudna droga dla obywateli niedawno jeszcze najpotężniejszego imperium świata. Droga, o której nie liczą tylko intelektualiści angielscy wiedzą, że jest nie do uniknięcia.

Dlatego może, przywódcy Labour prowadzą niekonsekwentną politykę, chcąc stosować reformy socjalistyczne na terenie wyspy brytyjskiej przy zachowaniu imperialistycznej polityki zagranicznej i w zysku kolonialnego. Inteligentniejsi z nich zapewne wiedzą jak rzecz się skończy, ale póki można, chcą współcześniac technicznie przemysł i kopalnie angielskie wysiłkiem kolorowych.

Ale labourzyści jako Anglicy, nie podlegają złym nastrojom i konsekwentnie robią swoje, zarabiając na nienawiści całej dawnej klasy rządzącej i na pewne zwycięstwo w następnych wyborach. Reakcja przypisuje im najgorsze zamiary z upaństwowieniem łózek i spodni włóczni. Chwilowo upaństwowili lekarzy, przez system podatkowy likwidują duże majątki i możliwość bogacenia się. Wystarczy, aby pewna część młodzieży o umysłowości awanturniczo kapitalistycznej marzyła o emigracji. Charakterystyczną zresztą dla rewolu-

cji angielskiej jest atmosfera pewnego fatalizmu i smutku. Anglicy dali jeden z licznych dowodów swej dojrzałości politycznej, pozbywając się Churchilla mimo, że w chwili klęski wyborczej był bohaterem narodowym. Już dziś reakcjonistów nie traktują poważnie, ale wyżył entuzjazmu i dynamiki rewolucję socjalistyczną traktują jak smutną konieczność. I popularny jest w Londynie porównanie: „Francja w największym bałaganie podnosi się ze zniszczeń wojennych, Anglia wspaniale zdyscyplinowana stacza się po równi pochyłej”.

Nie szczędząc złośliwości Anglicy odnoszą się z sympatią do swych nowych przywódców i z pewną dumą zapewnijają cudzoziemca o ich ludowym pochodzeniu.

Attlee jest człowiekiem bardzo popularnym będąc uosobieniem ideału przeciętnego Anglika. Premier snobistycznej dotychczas Anglii przywykł do drugorzędnych rozrywek przeciętnego obywatela i jeździ autobusem na widowiska cyrkowe, mecze itd. Kierownicy partii, Filips Morgan, Crips, Bevin, Bevan, Morrison, Shinwell, Shawcross to albo byli robotnicy, albo intelektualiści. Anglicy chętnie ich charakteryzują. Crips, że wegetarianin, asceta i demagog, Bevin, że chłop z pochodzenia, więc uparty

Między tymi przewodcami istnieją oczywiście pewne różnice poglądów, ale zasadniczo Labour pozbyła się lewych i prawych skrzydeł. Dobrze uwytklającym wagę, jaką labourzyści przywiązują do zachowania charakteru „rewolucjonistów w rekwizycjach”, był typowo angielski sposób pozbycia się Lasky'ego, którego zarzucano zbyt lewicowością. Jakiś prowincjonalny dziennikarz konserwatywny napisał, że Lasky na publicznym wiecu wzywał do krwawej rewolucji. Lasky oskarżył go o zniesławienie (też charakteryzując rewolucjonistę angielskiego). Przegrał w obu instancjach i musiał zapłacić 120 tysięcy funtów kosztów sądowych. Oczywiście tak kolosalnej sumy pieniędzy nie posiadał. Zapłaciła za niego partia, ale rola Lasky'ego się skończyła.

Bazą społeczną Labour są robotnice związki zawodowe i inteligentna pracująca. Partia utrzymywana jest przez związki zawodowe, których członkowie są wszyscy opodatkowani na rzecz partii. Inteligencja — do której, w odróżnieniu od Kontynentu, trudno zaliczać kobiety, nawet mające ku temu formalny tytuł, ponieważ zainteresowania Angielek są bardzo ograniczone, nie czytają one w ogóle, myślą mało, zajęte domem i w najlepszym razie pracą zawodową — a szczególnie jej elita, masowo przechodzi do Labour. Nie tyle przekonana ideowo, ile pewna, że do socjalizmu należy przyszłość. Są też wypadki gwałtownej zmiany orientacji w lewo, np. znany konserwatywny pisarz i dziennikarz Harold Nicolson, będąc cały czas działaczem konserwatywnym, w czasie ostatnich uzupełniających wyborów stanął w listy Labour — zresztą przegrał.

Mężczyźni z warstwy inteligentnej czytają bardzo dużo. Ze szczególnym zapałem wszelkie utopijne historie o przebudowie świata, polityce, religii itd. Dzięki temu ich postawa jest w pewnym sensie fatalistyczna i przygotowani są na wszystko.

Stanisław Mackiewicz opowiedział mi autyctyczną historię, którą znalazł w jakichś pamiętnikach

rosyjskich z czasów Aleksandra III. W okresie tym prawosławie sprzęgnięte z caratem było u szczytu swego skostnienia. Było ideałem ideałów religii obowiązującej, państwowej. W wyższej klasie gimnazjalnej śpiący pop przepytuje uczniów. Gimnazjum jest elitarne, uczniowie arystokracji. Każdy po kolei odpowiada w tych samych słowach na trzy pytania, które zna od lat. Każdy dostaje piątkę. Nikogo cały ten obrzęd, zawsze taki sam, nie obchodzi. Nagle na banalne, odwieczne pytanie jeden z chłopców odpowiada nie formułą, a żarliwą tyradą religijną. Pop się budzi, przeciera oczy i zapytuje z przerażeniem: „wy baczcie dostojny panie, czy pan czasem nie ateista?”

Wyobraziłem sobie jakby się czuł, ten pop, nie wątpię zapewne w swą wiarę, gdyby go zły los przełożył w epokę walk religijnych i ideowych. Trochę tak, jak stany konserwatyści w dzisiejszej Anglii. Od wieczni reprezentanci wielkości i godności Anglii, których wieczenia polityczne poddane zostały dyskusji i przestały obowiązywać. Pozostało im tylko uczucie zgorszenia. Kończy się baza społeczna konserwatystów angielskich — inicjatywa prywatna i właściciele ziemscy. Rozlatuje się, sprzeczna z rozwojem historii ideologia, rozlatuje się kierownictwo. Stary Churchill, odznacza się usposobieniem wykluczającym możliwość współpracy z kimkolwiek, mimo to stronnictwo bez niego, byłoby stronnictwem bez głowy. Eden jest za wytworny, to już nikogo nie bawi, Mac Millan za młody, intelektualistów wybitniejszych, a przede wszystkim narybku nie ma. Została przy nich część młodzieży, o której już wspominałem, amatorzy emigracji, których socjalizm nudzi i zdaje im się, że kapitalistyczny ustrój da im większe możliwości, awanturnicze, bogatego życia. Ale to jest za mało. Za mało w chwili, w której znany ze swych skrajnie konserwatywnych przekonań król, w mowie tronowej wnosi projekty upaństwowienia takich, czy innych gałęzi przemysłu ciężkiego. I mimo, że król wykonuje posłusznie wolę większości, osoba jego nie jest już tym dla społeczeństwa czym byli jego poprzednicy. Trudno jest twierdzić, że sama instytucja monarchii uległa zachwianiu, ale budzą zastrzeżenia i wątpliwości koszty związane z jej utrzymaniem. A to już jest dużo. Splendor i nimb zaczynają się rozwiwać. Anglicy w sprawach materialnych są nawet śmiesznie drobiazgowi. Np. w sprawie sukni ślubnej ks. Elżbiety wydany został specjalny komunikat wyjaśniający, że suknia ta nie była przekroczeniem obowiązującego systemu kartkowego. Ks. Edynburga, jako cudzoziemiec nie jest człowiekiem popularnym i może miał ra-

Każdy katolicki działacz społeczny
KAŻDY KATOLIK
musi
przeczytać książkę
Ks. F. Mirka
ZARYS SOCJOLOGII
Wyd. Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego 1948 r.
Do nabycia w księgarniach
katolickich.

Grabarze Francji (2)

Daladier

Daladier był ministrem wojny od 1936 roku. Premierem od 1938 r. Wreszcie do tych dwu tek dołączył i sprawy zagraniczne po ustąpieniu Bonnet'a 13 września 1939 roku. On więc ponosi bezsprzecznie największą odpowiedzialność za przygotowanie, lub nieprzygotowanie Francji do wojny, i za jej przebieg, poza operacjami strategicznymi i taktycznymi.

Powiedzieliśmy poprzednio, że Pertinax napisał trzy pamflety o trzech „grabarzach” Francji: Gamelin, Daladier i Reynaud. Rozdział o Gamelin jest rzeczywiście pamfletem, natomiast to co Pertinax pisze o pierwszym wojennym premierze Francji nazwać można paszkwilem. Prócz uczciwości, nie przyznaje mu ani jednej chyby zalety. Rozdział jest wypełniony anegdotami przedstawiającymi Daladier'a w najczarniejszym możliwie świetle.

Bardzo ciekawa jest generalizacja oskarżenia Daladier'a na całe stronnictwo radykalno - socjalne, a raczej na klasę drobnomieszczan francuskich, których poglądy reprezentowała zawsze ta partia. „Najważniejszą wartością tego słabego człowieka — pisze na końcu swego studium — było to, że uosabiał on niemal dokładnie przeciwnego, współczesnego sobie Francuza”. Ustęp poświęcony drobnomieszczaniemu francuskiemu odmawia tej klasie społecznej jakiegokolwiek programu czy choćby myśli przewodniej w zasadniczych dla losów kraju dziedzinach. Ten brak był wyczuwany instynktownie, i stąd partia radykalno - socjalna nader chętnie ustępowała stanowiska: premiera, ministra spraw zagranicznych czy Prezydenta Republiki innym stronnictwom. Sama miała w epoce poprzedzającej wojnę „trzech premierów”: Herriota, Chautemps'a, Daladier'a. Jak się stało, że z nich trzech ten ostatni odegrał rolę niemal dyktatora podczas wojny? Pertinax tłumaczy to „Prawem trzech brudnych koszul”. Jeśli kto ma trzy brudne koszule, brak mu zaś będzie możliwości ich wyprania, wówczas nieodparcie skłaniać się będzie do przyjęcia najdawniej nienoszonej już koszuli, za najczystsą. Stąd Daladier, ustąpiwszy po 1933 roku, powoli uwolnił się od dwu kontr-kandydatów i stał się opatrnościowym człowiekiem radykałów - socjalnych, a potem całej Francji.

Herriot, który był jego profesorem w gimnazjum w Lyon, zachował jego ćwiczenia i mawiał, że nigdy nie udało mu się widzieć nic równie doskonałego. Daladier został potem „abregé d'histoire”, — absolutem historii, tytuł nader skąpo udzielany na uniwersytetach francuskich. Poszedł na pierwszą wojnę światową jako prosty żołnierz, powrócił z niej kapitanem, i wówczas rozpoczął swoją karierę polityczną. Premierem został po raz pierwszy w 1933. Po aferach Oustrica i Stawiskiego, w które zresztą nie był w najmniejszej nawet mierze wmieszany, nastąpiła próba zamachu prawicy na parlament 6 lutego 1934 roku Daladier ustąpił, zbliżył się do socjalistów Bluma, współdziałał w utworzeniu Frontu Ludowego, który potem sam rozbił. W 1936 został ministrem wojny, premierem 10 kwietnia 1938-go i pozostał na tych stanowiskach do 20 marca 1940, kiedy to zastąpił go Paul Reynaud.

Daladier był uważany we Francji, a także i za granicą za człowieka silnej ręki. „Tylko jego kark i bary mogły usprawiedliwić asocjacje z wojęciami byka — która się

często powtarzała u współczesnych dziennikarzy i polityków — pisze Pertinax — na pewno nie zwyczaj rzuca nia się prosto na przeciwnika”. Zda niem autora Daladier był niezwykle słabym i pozbawionym woli człowiekiem.

Pewnego dnia Pertinax zadawał mu pytania dotyczące paktu z 11 grudnia 1932, którym Anglia, Francja, Włochy i Stany Zjednoczone czyniły Niemcy równoprawnym partnerem w zbrojeniach. „Muszę Panu przyznać — odpowiedział premier — że gabinet ratyfikował tę deklarację, nie zdając sobie sprawy z jej znaczenia...” Ta zdumiewająca odpowiedź — notu je bezlitosny Pertinax — przypomniała mi się zawsze, ilekroć była mowa o Daladier. Najczęściej ulegał on wpływow otoczenia, jego faktyczna dyktatura była dziwnym paradoksem dziejowym. W rzeczy wistości był on dyktatorem mimo woli.

Nie znam — pisze dalej Pertinax — ani jednej kariery politycznej, która by wykazywała tyle koziołków. Pomijając dziedzinę polityki wewnętrznej, gdzie jak już wspomnieliśmy stworzył i rozbił Front Ludowy, wystarczy przyrzeć się jego polityce wobec Niemiec. W 1933 ogłasza, że nie zgodzi się na żadne zmniejszenie zbrojeń, jeżeli w Genewie nie zostanie zawarty traktat wzajemnej pomocy przeciw agresorom. W czerwcu jednak podpisuje słynny „pakt czterech”, który jest próbą narzucenia Europei dyktatu czwórporozumienia angielsko — franko — włosko — niemieckiego, czym, jak pisze Pertinax, wpełchnął Polskę w ramiona Hitlera. George Bonnet opowiada, że we wrześniu tegoż roku został zwany telefonicznie przez Daladier'a. Premier podzielił się z nim następującym projektem sugerowanym przez Hitlera. Sześć rządów: Hitler i Daladier mieli się po tajemnie spotykać co parę dni w Czarnym Lesie, póki wszystkie rozbieżności między obu państwami nie będą rozwiązane. Następnie staną oni na czele obu armii i przejdą przez swoje kraje, aż do Renu, po środku którego, na jakiejś wysepce lub na moście, zbudują pomnik wiecznej przyjaźni... Daladier żadnymi argumentami nie dawał się odwieść od tego fantastycznego pomysłu. Izba deputowanych unie możliwiła jego realizację, przewracając rząd na jakiejś kwestii finansowej.

Największy brak charakteru wykazał Daladier po podpisaniu kapitulacji monachijskiej. Wracał wówczas samolotem do Paryża, głę boko przekonany o wielkiej porażce, jaką Francja poniosła i o groźbie wojny, która się nie da już oddalić. W rozmowach prowadzonych w samolocie, premier nie tał tych uczuć, i widząc olbrzymie tłumy na lotnisku zastanawiał się, czy nie lądować gdzie indziej, by uniknąć wygwizdania. Okazuje się jednak, że tłumy Francuzów cieszą się, że wojny nie będzie, i są pełne radości, optymizmu — i wdzięczności dla szefa rządu. Daladier wysiada, przyjmuje gratulacje kłania się na wszystkie strony, i z rozkosznym uśmiechem jedzie wśród ciągłych owacji do domu. Ani jednym słowem nie wspomnił nikomu, że jednak Francja poniosła klęskę, i że trzeba się zbroić ze zdwojoną energią.

Liczne ustępy pamfletu są poświęcone niedołężnemu przygotowaniu uzbrojenia i wojny przez Daladier'a. W r. 1933 wygłosił on następujące zdanie: „Pierwszym i ostat-

nim wyrazem sztuki wojennej jest zbudować okopy i w nich się utrzymywać, wszystko inne...” tu Pertinax pisze, że zapomniał dosłownie dalszego ciągu zdania, lecz sens jego był na pewno taki: „...to zwracanie głowy”. Daladier pracował z Gamelin od 1936 roku, i on to podtrzymywał go, gdy podczas wojny Reynaud chciał go usunąć. A przecież, kiedy Weygand przyszedł do niego w grudniu 1939 roku, Daladier zapytał go nagłe: „Co Pan myśli o generale, który jest w stanie napisać tego rodzaju rzeczy” — i przeczytał mu głośno kilka zdań z raportu, które wykazywały niezbitą całą biurokracją i brak podejścia wojskowego do zagadnienia. „Generał Gamelin jest moim szefem, i nie wypada mi go sądzić” — odpowiedział Weygand.

Samą zasadę zbrojeń — budować

fabryki miast importować gotową już broń i maszyny — poddaje autor silnej krytyce. Elementy ekonomiczne, nie zaś wojskowe grały w niej zasadniczą rolę. Już podczas wojny importowano 80% surowców, 20% zaś wyrobów gotowych. Oszczędzono na rezerwie złota, w rezultacie czego w chwili rozpoczęcia ofensywy Hitlera, połowa dywizji francuskich nie była zmotoryzowana. To samo zresztą czynił i rząd angielski Chamberlaina. Gdy pewien urzędnik tłumaczył ministrowi skarbu, że wobec toczoney wojny zapas złota jest jednak zagadnieniem mniej ważnym, Sir John Simon odrzekł mu: „Po moim trupie”.

W pewnej chwili zamówiono jednak w Ameryce 8 tysięcy aut ciężarowych, niezbędnych jako pomoc dla dywizji czołgów. Następnie jednak zażądano, by zmieniono

przesłany model: kierownica miała być mianowicie nie po lewej, lecz po prawej stronie i instalacje elektryczne mocniejsze. Wreszcie gdy w kwietniu 1940 r. auta były gotowe, min. skarbu sprzeciwiło się transportowi na cudzych statkach, by nie pogarszać bilansu płatniczego. Toteż ani jedno auto nie zdążyło przybyć do Francji przed kapitulacją.

Stosunek do defetyzmu jest równie szeroko omawiany przez Pertinax'a, i bodaj że w tym stosunku widzi on najsilniejsze dowody na chwiejność i słabość nieudanego dyktatora.

A jednak, w tym samym okresie, gdy przeprowadzał rozwiązanie partii komunistycznej i ściganie jej przywódców, nie tylko tolerował prasę faszystowską, lecz nawet w samym gabinecie świadomie utrzymywał

(dokończenie na str 5)

Z NOTATNIKA PODRÓŻY

(dokończenie ze str. 3-ej)

cię, jeden z moich znajomych, namawiając mnie, abym zaczekał w Londynie do narodzin następcy tronu, bo będę mógł opowiadać wnu kom, że słyszałem wystrząs oddawane na cześć narodzin ostatniego następcy tronu angielskiego.

Aby ten pobieżnie naszkicowany obraz polityczny Anglii nie był fałszywy, trzeba pamiętać, że Anglicy zasadniczo w ogóle nie interesują się polityką. Uważają podobnie jak Amerykanie, że od polityki są specjalistami, których się przecież opłaca po to, aby normalny obywatel mógł o polityce nie myśleć.

Mimo głębokiej tradycji nienawiści klasowej, robotnik brytyjski, podobnie jak rzemieślnik i farmer interesuje się głównie sprawą zarobków i sportem. Czym zarobki są bardziej unormowane, tym sport wysuwa się na pierwszy plan. Obecnie najniższa stawka płacy wynosi 4 i pół funta, co przy pracy jednej osoby ledwo wystarcza na utrzymanie, ale głodem nie grozi, bo żywność w systemie kartkowym, do którego rząd dopłaca, jest bardzo tania. Będąc najtypowszym tematem rozmów stała obawa wyższości cen, nie łączy się w umysłowości proletariatu angielskiego z zagadnieniem polityki. Zresztą od tych spraw są działacze związkowi, którzy też się opłaca. W ten sposób teren zostaje uwolniony dla wyższości w trzech zasadniczych zainteresowaniach społecznych: sporcie, hazardzie i lekturze „murder story” (kryminalnych powieści).

Ten rok był dla Anglii rokiem czarnym, ponieważ Australia zwyciężyła w cricketa. Mistrz w cricketa Dan Bradman został bohaterem o światowej sławie, był na herbatce u króla i wszędzie można było oglądać jego zdjęcia. Klęska w cricketa, znacznie bardziej poruszyła społeczeństwo brytyjskie, niż cały kryzys berliński. Powiązanie sportu z hazardem jest bardzo ścisłe. Tłumy na meczach piłki nożnej tłumaczą się w równym stopniu zainteresowaniem dla sportu, jak i gra w totalizatora footballowego, tzw. pool'a. Można by odbudować pół Warszawy za funty, które w ciągu roku Anglicy przegrywają w pool'a. A są jeszcze wścigi konne i psie. W samym Londynie jest 16 torów dla psów. I na każdym jest tłoczno. Wybrałem się raz na psiki i nawet wygrałem, miałem przy tym okazję zastanowić się nad społeczną rolą takich imprez. Jest to jeden

z ważnych elementów świadomego odpolitycznienia społeczeństwa. Rozbudzanie masowej namiętności do hazardu wydaje się jeszcze niemoralniejszym „opium dla ludu”, niż rzymskie circenses, które miały ten sam odpolityczniający cel. Ale cóż? Rzymianie stworzyli wyjątkowo trwałe państwo i wyjątkową kulturę, a Anglicy osiągnęli nadzwyczajny stopień upowszechnienia dojrzałości politycznej. Takie są dziwne paradoksy życia społecznego. A czy nie jest paradoksem istnienie loterii państwowej w Polsce. Ponieważ sam na loterii nigdy nie gram, chciałem już kiedyś zapytać, czy jest konieczne dalsze utrzymywanie tej absolutnie sprzecznej z założeniami ludowego ustroju i z wymogami współczesnego wychowania obywatelskiego instytucji

Widzę, że nie skończę dzisiaj z Anglikami. Trzeba by jeszcze napisać w czym tkwi tajemnica wielkości tego narodu. Sądzę, że przede wszystkim w olbrzymiej dyscyplinie społecznej i w dżentelmeńskim, lojalnym stosunku członków społeczeństwa angielskiego między sobą. Dam dwa drobne przykłady. Przy zajęciach dziennikarskich w Warszawie muszę czasami używać taksówki. Gdy przechodzę obok czekającego ogonka taksówek, chcąc wsiąść w pierwszą, każdy mijający szofer proponuje mi, żeby jechać jego wozem. Kilka razy w Londynie wsiadłem umyślnie do taksówki nie będącej pierwszą w kolejce i zaproponowałem szoferowi: wyśią zapłatę, jeżeli ze mną pojedzie. Za każdym razem uprzejmie mi odmówił, wskazując pierwszy wóz.

Przykład drugi. Policja angielska znana jest ze swej doskonałości, czyli z tego, że sprawnie troni i wyłapuje złodziei i bandytów. Ta doskonała policja, tym jeszcze różni się od innych policji, że nie posiada broni. Mimo to zasadniczo nie zdarza się, aby któkolwiek z przestępców strzelał do policjanta.

Jest w tym społeczeństwie olbrzymie poczucie wspólnoty i konieczności podporządkowania interesów własnych interesom nadrzędnym. Kult państwa jest wyjątkowy, przy tym przedstawiciel tego państwa, naj wyższy nawet urzędnik, nie jest figurą a tylko lubianym człowiekiem. Nikomu do głowy przysię nie może myśleć oszukiwania państwa. Angielski zwyczaj odgrywania hymnu

„Good save the king”, po każdym widowisku, w czasie którego wszyscy w skupieniu stoją, jest tym codziennym niemal momentem, przy pomijającym obywatelowi, że nie sobie tylko zawdzięcza to, co ma i to, czym jest i że nie sobie tylko służy.

Nie tylko ministrowie angielscy, ale każdy Anglik na swoim szczeblu społecznym, wykonuje zawsze i przede wszystkim swój zawód Anglika.

Mówiąc po prostu: Anglicy są nacjonalistami, w głębi duszy uważającymi wszystkich innych mieszkańców ziemi za coś znacznie gorszego. Ale są już zmęczeni, znudzeni i trochę zdegenerowani. Więc w Anglii jest spokój, wielki spokój i coś z nudy.

Po Londynie snują się stada ogromnych, leniwych kotów, których nikt nigdy w życiu nie przestraszył. Spokojne, śpiące życie, upija im w towarzystwie psów, które podobnie do swych panów różniących się tym od innych ludzi, że nigdy nie podnoszą głosu, w odróżnieniu od innych psów nigdy nie szczekają. W średniowiecznym Eton chłopcy w cylindrach i czarnych tużurkach z karabinami na ramieniu, bezgłośnie odprawiają ćwiczenia wojskowe. Wstań, padnij. Nikogo nie martwi, ani nie bawi, że czarne fraczki są umazane błotem, że tego rodzaju ćwiczenia są równie przydatne we współczesnej wojnie, jak umiejętność władania procą. Czas upływa powoli, o czym wiedzą łagodne daniela, z zielonych parków zyczliwie spoglądające na samochody i ludzi. Co parę kilometrów wisi tablica „Nie płoszcie danieli”, wisi nie potrzebnie, bo nikomu tak niestosowna myśl nie może przyjść do głowy.

Mogę dzisiejsze uwagi o wyspie brytyjskiej i jej mieszkańcach zakończyć fragmentem z „Chatki Pu chatka”.

„Gdy strumyk dopłynął do skraju lasu zdążył podrosnąć na tyle, że stał się prawie małą rzeczką. Jako ktoś już dorosły nie pędził, nie skakał i nie pisał się, jak to miał w zwyczaju, kiedy był młodszy, tylko poruszał się wolniej, gdyż wiedział teraz, dokąd zmierza, i mówił do siebie: „Na co mam się śpieszyć, któregoś dnia i tak dostanę się tam, gdzie trzeba” —

Dominik Horodyński

Zygmunt Lichniak

DEBIUT J. FICOWSKIEGO

Tomik wierszy Jerzego Ficowskiego* zasługuje na uwagę. Wśród coraz częstszych debiutów poetyckich zajmuje on pozycję własną, ciekawą i — już po lekturze wierszy tego autora w czasopiśmie literackim można się było tego spodziewać — pozycję dosyć wysoką.

Składają się na to dwa zasadnicze walory: głębokie przeżycie, które czasem redukuje się do głębokiego przemyślenia treści i unikanie łatwizny formalnych. Walory te nie występują na przestrzeni całego tomiku z jednakową wyrazistością i siłą. W „Ołowianych żołnierzach” widać wyraźną linę podziału, która przebiega wzdłuż linii podziału tematycznego. Pierwsza partia utworów (jest ich siedem), złączona wspólną ambicją rozwiązania problemów wewnętrznych, stworzonej wydarzeniami powstańczymi miesiąca Warszawy, jest najmocniejszą częścią tomu, w niej owe walory występują najwyraźniej i najmocniej przekonująco potrafią do siły talentu poetyckiego autora. W pozostałej części tomu występuje wiele nowych i pozytywnych właściwości talentu Ficowskiego, ale jednocześnie rysują się skazy, demaskują się sztuczności, ujawnia się cała „debiutanckość” wielu chwytów psarskich. Warto bliżej przeanalizować obydwie części: „Ołowianych żołnierzów”, aby ocena była i sprawliwsza i pełniejsza.

Określenie zasadniczych walorów tomiku (a właściwie jego partii „powstańczej”) przez wypuklenie głębokiej treści i formy unikającej bagienka łatwizny, jest określeniem wymagającym uzupełnień i komentarzy. Sens tych uzupełnień i komentarzy najlepiej zilustrować konkretnym przykładem. Jest wśród wierszy Ficowskiego utwór pt. „Wiosna”. Temat — jeśli tytuł może być jego wskaźnikiem — oklepany na wszystkie cztery boki. Nie było chyba poety — od Kochanowskiego do współczesnych który ominąłby wiosenne wydarzenie w swoim kalendarzu poetyckim. Właśnie dlatego temat ten jest miernikiem oryginalności talentu, jego opracowanie wyrazem związków z najistotniejszymi momentami teraźniejszości. Grafomania będzie pisał o ptaszkach — fiastkach, panteista o wiezi łączącej miłosnym uściskiem świat cały Karpiniński skrobnie mdły madryzał o słończku i trawce zielonej, Tuwim kropnie „dytyramb wiosenny” aby powstał rwetes i oburzenie wśród „strasznych mieszczan”. Temat „wiosenny” pokonał tylko talent tej młody, co autora „Czyhańca na Boga”. Ale pokonał ów temat także — toutes proportions gardées — Ficowski. Nie zniżył się do oleodrukowego „landzafiku”, nie ośmielił się świeżością i wzruszającym sercem, ale przewycięzając wszelkie konwencje literackie a raczej — przechodząc obok wszelkich konwencji, dał wyraz nabożeństwu przeżyciu, najtraficzniesze-

mu problemowi swojego pokolenia chciałoby się niemal powiedzieć: swojego rocznika.

Róże uwędzną i tylko to samo niebo nad nami, Gruzy zostały bezsilne z ogrodów Semiramis.

I bluszczu cień staroświecki cierpienia przemieni w antyk. Dla innych. Dla mnie tu wiecznie krw. ślady i śmierci tamtych.

I słodki, najmłodszy wietrzyk jak struny potrąca woń tarmin. Zbyt dużo, boleśnie powietrze zostawione przez zmarłych.

(Wiosna, str. 16—17)

Ten żal i ta pamięć wyrastają w wierszach Ficowskiego na problem pokolenia. Nie rozważa go młody poeta. Na próżno w świetnej „Piosence o powrocie” woła: Nie spojrzaj w ciebie blaskiem umarłe oczy miasta. Nie w cieniu barykady uścieszysz czwiesz dłoń. Przeszłość kwiatami wschodzi i słońcem ci wyrasta! Nie wracaj. Znowu czas przyszedł podlewać pelargonie. Już w następnym wierszu („Cienie”):

Tak samo nieprawdziwy, rytmem kroków pograżasz się w cmentarz.

I tłucze cię niecierpliwie:

— Pamietasz?

I dalej:

...jak ci spojrzeć Przyjacielu,

w umarłe oczy?

Wreszcie:

Prawdziwie to co zęnieło, czy to co zrodzi gwiazd spokój?

Nie ma w tych pytaniach najmniejszego nawet śladu retoryki. Nie ma taniej emfazy demagogii patriotycznej, jest prawda pokolenia, które reprezentuje poeta. W dotarciu do tej prawdy, w bezwzględnej jej przedstawieniu leży największy walor „Ołowianych żołnierzów”.

Walor ten zyskuje na wyrazistości dzięki wielkiej rozwadze słowa. Tak bowiem można określić zalety formalne, omawianej w tej chwili części tomiku. Ficowski, jak każdy poeta z prawdziwego zdarzenia, zna i wykorzystuje bardzo umiejętnie wszystkie wartości emocjonalne świeżych skojarzeń wyrazowych, lekkich udanych metafor, plastycznych porównań, ale operuje nimi wszędzie, z dużą kulturą literacką i odczuciem należytych proporcji. Dlatego wyrażenia takie, jak: „piaska zieleń”, „oczy zasłonięte”, „wieczór który w piwnicach się ocalił”, „chmur wirydarze”, „szmaragdowy świergot”, „biekiny spokój”, „liżek — małe słońko”, „żywność ognia”, „snów turbany”, „cokół milczenia”, „topór huk”, „chwyte barwy”, „pączki światła”, „odwaga płomieni”, „ognia ziarno”, „spojrzeć niewód” (wszystkie wyjęte z jednego tylko utworu „Do siebie”), chociaż w oderwaniu mogą nieokreślić i swą siłą i w wielu wypadkach „świątym koligacjami” ze „Skomandrem” lub nawet moderną, w całości w sposób grają harmonicznie i celowo. Są świetnie zastosowanym

środkiem ekspresji. Czasami tylko (jak np. w pierwszej części „Cieniów” pt. „Wieczór” ów „z głębi cuchnącej kałem powstańczy kask”) pachną przestarzałym trochę remarcyzmem, lub (jak w cytowanej już w innym celu strofie z „Wiosny” owe róże i ogrody Semiramis) niepokoją barokowością. Nigdy jednak nie wyrażają się te skłonności w jakiś młodzieńczy parnasizm. W jakąś pogoń za efektem, której celem jest — efekt. Zawsze wielkość, ważkość prawdy którą usiłuje wyrazić i szczęśliwie wyraża „powstańcza” część tomiku jest celem, który podporządkować sobie potrafi inne ambicje.

Walka to trudna i nie od razu odnosi się w niej zwycięstwo. Ficowski triumfuje w pierwszej części „Ołowianych żołnierzów” (konkretnie: w „Piosence o powrocie”, „Cieniach”, „Do siebie”, „Wiosnie”, „Rekach sanitariuszki”, „Promieniu”, „Credo”), ale ulega w części drugiej (z własząca w „Magii”, „Śpiewce o cygańskiej śmierci”, „Ściucie hiszpańskie”) i charakterystycznych „Bałkach”, które stanowią niejako signum cladis, chociaż znowu takie utwory, jak „Exodus 1947” przypominają się i wartości pierwszej czę-

ści zbioru. Przegrana tej partii „Ołowianych żołnierzów” polega na tym, że autor zrezygnował z głębi przeżywania podmiotowego na rzecz wnikliwości, a raczej atrakcyjności obserwacji przedmiotowej. Pisze dla efektywnych skojarzeń, puszcza się na potłowy metafor, stylizacji („Sui-ta hiszpańska”), czy alegoryj poetyckich („Bałki”), goni za efektywnością. Prawdziwym poezją polega na prawdziwym przeżyciu i oddaniu tego przeżycia. Można je ograniczyć do obserwacji, ale trzeba pogłębić tę obserwację do jak najgłębszych warstw emocjonalnych (Rimbaud!). Można puścić się w pogoń za efektywnym słowem ale trzeba w tej pogoni, odkryć sens wnikań w odrębny, specyficzny żywioł słowa (Tuwim!). Można polować na metafory, ale polowanie to traktować trzeba jako wysiłek „woli wymiennego kształtu” (Przybył!). Ale nie wolno nizać słów, jak paciorki, dla tego tylko, że — nie znalazło się innego dla tych słów celu. Rodzi się wtedy grzech werbalizmu, który historia poezji usiłuje zastąpić eufemizmem „parnasizm”. Jak się to nazywa, obójcie. Fakt pozostaje faktem: poezja taka jest tylko poezją w cudzysłowie.

Dużo jej w drugiej części tomiku Ficowskiego. I to należy uważać za poważny błąd debiutu. Niepokoje ten błąd możliwościami zabiłania się na manowce, które prowadzą wszędzie, tylko nie do przyszłych osiągnięć poetyckich, trwałych i głębokich.

Oczywiście, w imię szczerości, trzeba przyznać, że niebezpieczeństwo to jeśli chodzi o Ficowskiego, trochę wyolbrzymiamy i przejawiamy. Zarazem werbalizmem poetyckim które jest widoczne w drugiej części „Ołowianych żołnierzów”, występuje raczej w formie przejściowej wysypki, niż poważnego schorzenia, ale warto na nią zwrócić uwagę, dla dobra i autora i poezji. Bo jedno jest pewne: w Ficowskim powitać można świeży, prawdziwy i rzetelny talent poetycki. Duża kultura literacka autora „Ołowianych żołnierzów”, wielki dar odkrywczego widzenia zjawisk dojrzałość formalna jego wierszy pozwalają przypuszczać że nie raz jeszcze przywdędują na biurko krytyka jego tomiki, z których każdy będzie zbogacał naszą poezję współczesną nowymi wartościami nowych osiągnięć.

Zygmunt Lichniak

WACŁAW RZEZACZ — KRAWĘDŹ

Krawędź Rzezacza*) jest powieścią psychologiczną o bardzo oryginalnej konstrukcji. Zawiera ona w sobie dwie różne powieści powiązane w całość wędź duchowego pokrewieństwa, jakie łączy autora i jego dzieło. Treść jednej stanowi bowiem życie początkującego pisarza pełne zmagania i możliwość egzystencji i możliwość uczynienia twórczymi swych marzeń a treść drugiej jego powieść, która powstaje i rozwija się na naszych oczach.

Wątki obu tych powieści zacierają się chwilami o siebie, by się znów diametralnie rozleść i snuć równoległe jak historia dwóch odrębnych istnień — początkującego pisarza Henryka Augusta utalentowanego aktora Wilhelma Haby.

Wzajemny stosunek losów obu tych bohaterów określa jeden z nich Henryk Aust... „okoliczności tylko niekiedy zbliżają zrywkami nasze przeżycia i te zaledwie zetknięwszy się odsakują od siebie przestraszony”.

Małe, ciche miasteczko na Morawach jest kolebką wspomnień dzieciństwa — wczesnej młodości zarówno Henryka jak i Wilhelma. Strzępek rzeczywistych zdarzeń — ucieczka ledynego syna zamożnego właściciela sklepu z rodzinnego miasta z aktorką wędrownego teatru i zaginięcie po nim śladu posłużyło Henrykowi do wysnucia historii o aktorze.

Wizja przeszłości zaczęła na życiu ich obu.

Obaj będą musieli do niej jeszcze powrócić.

Świat realny spleta się w powieści Rzezacza ze światem wyobraźni. Jawną i sen łączy się w całość tak czasłki tworzywa, z których budoje pisarz. Rzezacz stara się pokazać nam jak mozołny wysiłek wkłada artysta w swe dzieło: jak żyje nim i jak spleta swe życie z losami bohatera. Stara się pokazać, że życie i sztuka nie są oddalone od siebie, lecz wiążą się ściśle, a prawda życia i prawda w sztuce jest jedna. Zarówno pisarz jak i autor ulegają silnej sugestji wizji artystycznej która im potrafi przesłonić nawet własne życie. Henryk opętany marzeniami traci kontakt z rzeczywistością, która go otacza. Bogactwo i siła wyobraźni stają mu na przeszkodzie w zdobywaniu warunków potrzebnych do egzystencji. Zamknięcie o losach Haby powoduje utratę posady nauczyciela i utratę mieszkania. Pozbawiony stałego zajęcia i dachu nad głową staje Henryk Aust w sytuacji bez wyjścia. Ma lat czterdzieści i niczego nie dokonał. Zmieniał liczne zawody i żaden mu nie odpowiadał. Stosy zaczętych

utworów ciąży mu jak wyrzut. Żadnego nie mógł dokończyć. Tak dalej żyć nie może. Albo jego marzenia staną się twórcze i zostanie pisarzem, albo życie jego będzie zmarnowane. Stanał na „krawędzi” życia, na rozstaju dróg i musi wybrać.

O ile życie Henryka od dzieciństwa przywykłego do ubóstwa, jest ciągłą walką i zmaganiem, o tyle Haba, syn zamożnych rodziców, ulubieniec miasteczka, zdobywa wszystko bez trudu. Z wyjątkiem ciężkiej sytuacji w jakiej znajduje się chwilowo w Pradze zanim dostanie się do Teatru Narodowego (Henryk podsuwa mu tu swe własne wspomnienia) życie jego jest jednym pasmem sukcesów. Pewen siebie, śmiały i rzutki, dążący bezwzględnie do wytkniętego sobie celu, zdobywa czego pragnie. Sylwetka jego duchowa kontrastowo odcina się od nieśmiałości i pozabawionego wiary w siebie Henryka, który tak się wyraża o życiu bohatera swej powieści: „Haba lekkomyślnie w swoim życiu tym pogardzał, czego ja nigdy nie otrzymałem”. A gdzie mdziej wyjawia pragnienie: „Chciałbym się z tobą zamienić na życie, aby mój splepany i bezkształtny los nabrał wyrazistości”!

Losy Wilhelma Haby są więc marzeniem Henryka Augusta o życiu. Bohater jego powieści jest z nim związany freudowskim prawem kompensacji. Wszak Henryk pragnął być aktorem i to mu się nie udało.

Celem, który sobie wytknął Haba jest zdobycie sławy. Dla niej wyrzeka się osobistego życia i zrywa wszelkie więzy łączące go z przeszłością. Cel swój osiąga. Zdobywa rozgłos, staje się sławnym aktorem Teatru Narodowego w Pradze. Mistrz w odtwarzaniu masek ludzkich zatracca w nich jednak swe własne oblicze. Zdobywa szczyty techniki, ale sztuka jego jest bezduszna. Artysta nie może tworzyć tylko dla sławy. Nie może się też wyrzekać swego własnego życia i uciekać przed jego trudnościami za parawan sztuki.

„Aktor — mówi Rzezacz — musi być bardziej niż kto inny człowiekiem”!

Trudy i cierpienia nie mogą być mu obce. Wilhelm za łatwo i za wcześnie zdobył sławę i ona uderzyła mu do głowy. Nie będzie mógł tworzyć prawdziwej sztuki, jeśli się nie odrodzi. Bezwzględne zdobywanie sławy kosztem innych, zostawiło mu pustkę i niesmak. Tak dalej grać na scenie nie może. Trafił na zapórę, której nie może przebyć. Oto i on doszedł do „krawędzi” życia i nie wie co począć dalej. Czy ma porzucić teatr?

Losy obu bohaterów spotykają się na nieodgadnionym rozstaju dróg talentu, choć tak różne było ich życie.

„Znałem się obaj Wilhelmie na szarej mglistej krawędzi... uświa

damia sobie czterdziestoltni Henryk myśląc o rozterce równego mu wiekiem Wilhelma.

Niedoszły pisarz uczył się przesadzającej go wizji aktora Haby, jako jedynej deski ratunku. Jeśli ona doprowadzi go do stworzenia powieści będzie uratowany. Wizja ta tym razem okazała się twórczą — talent jego dojrzał.

Kończy nowelę osnutą na losach aktora, a potem przerabia i rozwija ją w powieść.

Nieśmiały i pozabawiony wiary w siebie Henryk potrafi za przykładem zdobywczego Wilhelma pokonać przeszłość, jakie mu się piętrzą na drodze do wydania utworu. Zdaje sobie sprawę, że walczy o ostatnią szansę w swoim życiu. Szansę tę wygrywa. Nowela i powieść zostają wydane.

Henryk zdobywa pewność siebie, której mu zawsze brakowało. A aktor Haba? Wiedziony instynktem ucieka z Pragi do stron rodzinnych, by tu powtórnie przeżywając swą młodość odnaleźć siebie. I odnajduje. Widzi, że kierunek, który nadał swej sztuce i życiu był fałszywy. Mu się z niego zawróciło i zaczął od początku. Wraca więc od „krawędzi”, na której się zatrzymał ku sztuce, ale już odmienną. A więc życie bohaterów obu powieści znajduje sprawiedliwe wyrównanie, a Henryk — pisarz wyzwała się z ciężkiego na nim kompleksu niższości.

Talent jednego i drugiego dojrzał w tym samym czasie, choć szli tak odmiennymi drogami. Henryk Aust nauczony doświadczeniem Wilhelma Haby nie będzie tworzył dla sławy. Chce pisać dla ludzi, tych najprostszych i być z nimi „jak równy z równymi”, bo artysta nie jest obdarzony talentem, tylko dla siebie”.

Wielki przełom w życiu obu bohaterów zastaje ich na rynku małego rodzinnego miasteczka, które było nie tylko początkiem ich istnienia ale stało się i natchnieniem ich sztuki.

Powieść Rzezacza przez swą wnikliwość psychologiczną i rzetelność w odtwarzaniu procesów wewnętrznych stanowi ciekawy i bogaty materiał dla psychologa. Można by zarzucić autorowi, że przeobrażenia duchowe jakim ulega aktor Haba nie zawsze są dostatecznie umotywowane, a szczególnie jeśli chodzi o jego ostatni kryzys wyczuwa się pewne niedociągnięcia. Ale bogactwo trafnych obserwacji psychologicznych nagromadzonych w tej książce, szczególnie jeśli chodzi o psychologię twórczości pisarza i aktora, ciekawe i oryginalne ujęcie tematu oraz atmosfera wyjątkowej uczciwości i podniosłości z jaką Rzezacz podchodzi do sztuki, stanowią niezaprzeczną wartość powieści.

Halszka Krajewska

* Jerzy Ficowski: Ołowiani żołnierze wyd. E. Kulhna Warszawa — Kraków, 1948, str. 45.

Grabarze Francji

(dokończenie ze str. 4-ej)

kilku ministrów „miękkich”, jak ich wtedy nazywano, w odróżnieniu od „twardych”, tj. nieprzejednanych. Byli to Bonnet, dawny ministr spraw zagranicznych, który po 13 września objął sprawiedliwość, Pomaret, a zwłaszcza Monzie. Daladier utrzymywał tych ludzi w rządzie, mimo że sam równocześnie na zewnątrz ich zdradzał. Bał się, że gdyby ich zastąpił patriotami, byłby zdany na ich łaskę lub niełaskę, nie mogąc balansować pomiędzy dwoma odcieniami. Już raz, gdy powrócił z Monachium Mandel, Reynaud i Campinchi próbowali go opanować, zastanawiając się nad ewentualną zbiorową dymisją. Jakże było morale „miękkich”, niech będzie na to dowodem pewne oświadczenie ministra robót publicznych

Pomaret: „jestem za zawarciem pokoju za wszelką cenę. Wolę dostać kopniakiem w plecy, niż kulą w głowę”.

Rzecz dziwna, upadek Daladier'a w dniu 20 marca 1940 roku spowodował Laval, swoim wystąpieniem w senacie.

Toteż w głosowaniu za rządem głosowało 239 posłów, przeciwko tylko jeden. Ale 300 wstrzymało się od głosowania, i to skłoniło Daladier'a do wniesienia dymisji.

Gdy jechał w nocy do prezydenta, powtarzał pono ciągle: „Blum mnie nie lubi, Blum mnie nie lubi”. Daladier bowiem, jak twierdzi Pertinax, wszelkie wydarzenia polityczne ujmował pod wyłącznym kątem widzenia swojej gry parlamentarnej. F. L.

* Przykład autoryzowany z czeskiego Marij Erhardtowej, Czytelnik. Klub Literacki Odrodzenia str. 456.

ASTĘPNEGO dnia wypłynęli z zatoki. Wiatr był rzeczywiście pomyślny. Jego powiew popychał ich naprzód, lekko tylko kierując w stronę skalistego wybrzeża, tak, że kapitan musiał czuwać, by się za nadto nie zbliżyli do brzegu i nie natknęli na jakąś rafę. Skoro jednak minęli gabinet Psidoritis niespodziewanie ten sam straszliwy wicher północno-wschodni z rykiem rzucił się na nich. Stało się to nagle — jakby z jasnego nieba wystrzelił piorun. Fale wspięły się i z furją natarły na statek. Wiosła trzasnęły niby suche drewnianki, woda, hucząc i szumiąc, wdarła się przez wiosłarskie luki, wywołując panikę wśród wiosłarzy, którzy poczęli się szarpać na łańcuchach i krzyżeć. Na szczęście Petesuchos nie stracił głowy; od razu zapanował nad sytuacją. Przede wszystkim kazał wciągnąć ocalałe wiosła i zamknąć luki. Potem polecił zwinąć żagle. Sam biegał po pokładzie kierując tą pracą. Lecz w tej chwili zwaliło się na okręt tak potężne uderzenie, że położyło go na boku. Paki, stojące na pokładzie, poleciały za burte, marynarze zawisli w powietrzu, uczepliwszy się rozpaczliwie lin. Wielki bałwan przewalił się przez nich, zrywając pokład do czysta. Ale okręt podźwignął się ciężko. „Ster! ster!“ wrzeszczał kapitan; głos jego jednak tonął w ryku morza i w zawodzeniu wiatru. Sam sternik zrozumiał sytuację i mocnym zwrotem skręcił okręt rufą do huraganu. Dzięki temu następne uderzenia fal nie groziły im już przewróceniem. Natomiast popędzili wprost przed siebie, na południe. Łódź którą holowali latała teraz nad nimi niby czarny ptak na grzbiecie bałwanów, grożąc spadnięciem na pokład. Kapitan kazał popuścić linę na jak największą dłu gość, nie chciał jednak wyrzec się łodzi. Płynęli przed siebie, nie próbując już stawiać czoła huraganowi. Zresztą był tak potężny, że nie sposób było nawet obrócić się twarzą do wiatru. Jego pęd zapierał oddech w piersi, rozrywał, zda się, człowieka. Czasami fale przeganiały statek, podrzuciły go niby piłkę. Przykuci do ław wiosłarze wylili. Przerazeni pasażerowie i żołnierze schronili się na spód okrętu, gdzie leżały niezliczone worki z pszenicą. Ludzie siedzieli w półmroku, ponieważ wszystkie lampy pogasły i pozostał tylko słaby blask dnia, przedostający się przez luk w górze. Woda, która się wdarła na spód, przelewała się teraz z szumem, pieńką, skakała na ściany okrętu, podmywała i zwałała worki. Wystraszone szczury biegały w ciemnościach, wskakiwały na ludzi, wydawały przeraźliwe piski. Ich oczy błyskały czerwono niby robaczki świętojańskie. Petesuchos zwołał wszystkich do wylewania wody. Ale mało kto umiał wejść z wiadrem na chwilać się drabinę luku a już nikt nie miał odwagi wyjść na smagany wiatrem i zmywany wodą pokład. Dopiero marynarze, skończywszy ze zwijaniem żagli, zajęli się wylewaniem wody.

Tymczasem nadszedł wieczór. Brzeg Krety zniknął z oczu. Wiatr dał nie słabnąć. Powietrze poczęło się wypełniać mglistą szarością jakby niesionego przez wiatr pyłu. Na chwilę zabłysło czerwone słońce i zaraz zgasło. Petesuchos spodziewał się, że noc będzie lżejsza i że wiatr ustanie lub przynajmniej ucichnie. Gdyby miał dać z taką siłą przez całą noc okrętowi groziło wyrzucenie na skały Klaudy. I rzeczywiście około północy napór wichury zmniejszył się, nie na tyle jednak, aby mogli popłynąć z powrotem ku Krecie. Morze było dzi-

Fragment powieści „Święty miecz“, stanowiącej część drugą „Wybrańców gwiazd“.

ko rozchustane, targało okrętem aż skrzybiały wszystkie jego wiazania. Nikt nie mógł spać. Korzy stając z lekkiego uspokojenia się, kapitan kazał schwytać wciąż podzucane aż na wysokość masztów czołno. Było to zadanie nie lada. Łódź mogła potrząsnąć burty i po zabijać ludzi. Cała załoga zebrała się na rufie, ostrożnie ściągali linę. „Na Serapiśa! — krzyczał Petesuchos — Uważajcie! Teraz! Jeszcze! Jeszcze! Trzymać! Wszyscy! „Czar ny kształt ociekającej wodą łodzi przemknął tuż obok burty, ciężka fala — czarna jak noc — uderzyła w twarze majtków. „Jeszcze raz! — komenderował kapitan — Skróć linę! Wolniej! Uwaga! Teraz! teraz! łapcie! „Niby brzuch ryby zamajaczyło nad nimi wypukłe dno. „Trzymać!“ — ryczał kapitan. Ręce ze sznurami i kijami wyciągnęły się w ciemność. Łódź zakreśliła się jakby była żywą istotą. Trzasnęła jednego z majtków, a ten poleciał pod maszt niby mokry gałgan, rzucony przez prądkę. „Trzymać!“ — Petesuchos dławiał się własnym krzykiem. Ludzie, kalecząc ręce, uczepli się wielkiego, śliskiego cieszka. Kije, którymi chcieli zatrzymać łódź na pokładzie trzaskały i wylatywały kawałkami w powietrze. Ale w końcu udało im się przydusić łódkę do pokładu. Klebili się na niej w ciemnościach, deptali po sobie, kleli, sapali. Przywiązano ją w końcu do burt i do masztu, mogli wie jak najciszej, aby szarpać się na uwięzi nie rozewała okrętu. W mroku słychać było ciężkie oddechy marynarzy zmieszane z pojęciem. Teraz Petesuchos część załogi wysłał do dalszego wyczerpywania wody z dna okrętu, natomiast najrzęczniejszym kazał powiązać okręt linami. Ściągnięto nim mocno boki statku. Potem marynarze spuścili do morza na sznurach młodego chłopaka z Cypru, który pływał jak ryba, i ten przepchnął koniec ciężkiej liny pod ka dłubem okrętu. W ten sposób statek został związany niby wielki tło mok.

Szary świt zastał ich mozołających się jeszcze nad tą robotą. Zaingio ne słońce, wynurzywszy się, ukazało im bliski brzeg Klaudy. Ale na wyspie nie było portu. Morze było ciągle rozkołysane: miało okrętem jakby był zabawką, którą dziecko taca po stole. Ledwo zro biło się jasno, wiatr wzmożył się. Wzrastał teraz z godziny na godzinę, zamieniał się w orkan. Znowu był dziki i potężny jak poprzednie go dnia. Nie mogli nic zrobić poza nastawieniem mu rufy, on zaś bił w nich falami, starał się poszarpać zwinione żagle i potargać liny. Czasami na chwilę zmieniał kierunek i wtedy szklista, żółtozielona góra wodna, opluta pianą, zwałała się na pokład. Marynarze musieli być ciągle w pogotowiu, by nie zostali zmytymi w morze. Jeden z bałwanów runął na kuchnię, znajdującą się na tyle okrętu i zatopił ją. Ku charz uciekł, schronił się na dno okrętu razem ze wszystkimi. Na wylizany i lśniący pokładzie dygo tała tylko uwiązana łódź, podobna do wielkiej, złowionej ryby. Sternik usiłował przewidzieć te okrutne żarty wiatru, ale nie zawsze umiał w czas skręcić okrętem. Wicher niósł ich ciągle na południe. Do wieczora Klauda pozostała za nimi. Noc tym razem nie przyniosła żadnej poprawy. Szara cma zgasła gwiazdy. Lecieli w zupełnych ciemnościach nie widząc już nawet w jakim leca kierunku. Ludzie wyczerpani wysiłkiem cisnęli się między zmoczonymi workami pszenicy. Wiatr wyl, morze huczało, reje stukały, a napięte liny wydawały dźwięk podobny do dźwięku pusz czonej cięciwy. Ludzie w ciemnościach jęczyli z bólu i ze strachu. Juliusz, chwyciwszy Pawła za rękę,

Jan Dobraczyński

Fragment odczytany na Wieczorze Autorskim w dniu 9.I 49 r. w sali parafialnej przy ul. Łazienkowskiej 14.

powtarzał raz po raz: „Na Jowisza... miałeś rację... trzeba było z mówić w Kaloi Limenes... Ale ty powiedziałeś, że ocaleją... Pamiętaj...“ Jeden z tobołów setka zmyło morze, trzy pozostałe udało mu się wtłoczyć pod pokład. Nie mógł się pogodzić ze swoją stratą. „Czy wiesz, co ja straciłem?! Wszystko co miałem z wyprawy pod Swetoniuszem Paulusem do Etiopii... naczynia złote i srebrne... kość słoniową... dwie wazy... Ile bym za to do stał w sklepach na Połu Marsowym! Miałeś rację. Na Minerwę, ten Egipcjanin musi mi za stratę zapłacić! Ale czym on zapłaci?“

Okręt przechylał się, chybotał, podskakiwał jakby miał wylecieć w górę, zapadał się nagle w giąb, prawie tonął przyswalał „korami“ wody. Za każdym takim nurkiem zdawał się grząść głębiej w wzburzonej toni. Pudło coraz rozpaczliwiej skrzybiało w swych wiazaniach. Z części podpokładzia, gdzie znajdowali się wiosłarze dochodził nieustanny krzyk ludzki. Więźniów nikt nie pilnował, zamknięto ich tylko. Kilku z nich udało się urwać od swoich łań. Ciągając za sobą łańcuchy biegali na oślep wąskim przejściem między łańkami. Nie wiedzieli co mają robić z uzyskaną wolnością. Słyszcząc ich biegających pozostali wiosłarze tym głośniejszy wylili; wyciągali ręce i usiłowali tamtych złapać. Co chwila chybot okrętu przewracał wszystkich, rzucał jednych na drugich. Chacząc i stękając toczyli się, zaplątani w łańcuchy. Czepiali się poprzecznych desek ale deski łamały się pod ich ciężarem. Jeden z uwolnionych spadł na sam spód, pod ławy, gdzie leżał piasek stanowiący balast okrętu, pokryty kałem nie odkuwanych nigdy wieźniów. Nie mogąc się wydobyć krzyczał w dole jakby go obdzierano ze skóry.

Marynarz przy sterze osłabł, nie mógł już władać ciężką łopatą. Petesuchos wydał rozkaz uwiązania steru. Zrobiono to wśród dęcia wiatru i wśród fontann wpadającej na pokład wody. Fale rosły. Kiedy skończyła się noc a wstał szary, bez słońca, jakby zadymiony dzień, wydawały się górami otaczającymi okręt. Wybuchy nagle z burej powierzchni morza, w kilku rozkołychach podnosiły się na wysokość masztu a potem zlewały się przerażającą kaskadą, rycząc, hucząc i szumiąc. Większość pasażerów o twarzach zielonobłędnych dowlokła się do luku. Siedzieli na drabinie podobni stadu mały, wdechających łapczywie powietrze. Nie odstraszała ich chlująca w luk woda. Nie mogli już wytrzymać na dole. Wszyscy byli chorzy, wszystkim rzucały torsje. Między workami pozostali tylko najślabi a po ich ciałach przebiegały mokre szczury. Jeden z worków stoczył się ze stołu i pekił. Grube ziarno chrzęściło pod nogami i przesypywało się po deskach.

Paweł i Łukasz klęczeli nad marynarzem, którego uderzyła łódź. Miał połamane obie ręce i kilka żeber. Łukaszowi udało się pierwszej nocy zestawić kości i obandażować nieszczęśliwego. Ale każdy podzrut sprawiał mu ból okropny. Na zmianę czuwali nad leżącym podtrzymywali go. Gdy zarzął wołać o wodę, Annarzech poszedł na pokład do beczki. Zbiornik miał

jednak rozbite nakrycie i zalany był słoną wodą. Młody prezbiter zdecydował się poszukać wody w zatopionej kuchni. Oni pozostali przy rannym ale myśleli o czołgającym się po rozbujanym pokładzie towarzyszu. W głębi, w mroku krzyczał Juliusz:

— Pawle! Pawle! Gdzie jesteś?

— Czego on chce? — pytał szepem Łukasz.

— Abym był ciągle przy nim... biedny człowiek... Znowu potwór na masa wody stoczyła się na pokład, a cały okręt, z ciężkim stęknięciem, zanurzył się po burty. Przez luk trysnęło do środka. Zrobiło się zupełnie ciemno. Pokład nad nimi jęczał miażdżony ciężarem wody. Zdawało się że już nie wypłyną. Ludzie rozwrzeszczeli się pełnymi trwogi głosami. Miotali się rozpaczliwie jakby byli ziarnka mi bobu potrząsanymi w garnku. Każdy wzywał na ratunek swego boga. Ich przerażenie rosło gdy w huk morza nie słyszeli własnych głosów.

Ale okręt znowu się wydzwignął. Szedł w górę niby nurek wracający z ciężkiej wyprawy na dno morza. Blask dnia wrócił znowu w wycięcie luku, ukazując twarze wykrzywione śmiertelnym strachem.

Ledwo wyhynęli rozległ się z góry głos Petesuchosa, zduszony jakby kapitan krzyczał poprzez leżącą mu na ustach poduszkę:

— Wszyscy! Wyrzuć! Wszyscy! Do morza! Wyrzuć!

Od razu zrozumieli czego chce. Rozkaz podziałał na nich jak smagnięcie batem. Od razu wszyscy — pasażerowie, żołnierze, marynarze — rzucili się z drabiny do wnętrza statku. Głos kapitana poderwał ich na nowo do życia. Miotani od trzech dni przez orkan stali się bezradnymi istotami, niezdolnymi do najmniejszego wysiłku. Ale teraz opadła z nich cała apatia i beznia. Chwycili za worki, za toboły, za sprzęt. Namoknięte worki były ciężkie jakby zawierały kamienie. Sapiąc wlekli je, podawali sobie wzdłuż drabiny. Na pokładzie ciężar odbierali marynarze i rzucali za burty. Ludzie przestali myśleć co wyrzucają. Obok pszenicy leciały w morze siekiery, młoty, piły okrętowe, pudła gwoździ, garnki, żywność, bukłaki z winem... Ogar nął ich szal wyrzucania. Bez wahania nieśli do luku własny bagaż. Ktoś chwycił za tobole Juliusza. Lecz sternik z okrzykiem gniewu, odepchnął tamtego. Powstała szarpanina. Legionista sięgnął po miecz i dopiero błysk broni odstraszył gorliwca. Pszenica — worek za workiem — sypała się za burty. Morze pożerało każdą ofiarę z nienasyconą łapczywością. Nie było jednak zadowolone. Wciąż głodne było w okręt. Staroło się zmyć biegających po pokładzie ludzi. Zrzucało dźwigających worki z drabiny. Znowu nieszczęsna quadrrema dała nurka. Fale wody buchnęły przez luk strącając ludzi, przyniatając ich worami. W zamieszaniu zdeptano rannego marynarza. Prózno Łukasz starał się go osłonić. Pszenica nasiąknąwszy wodą, zda-

NA

wała się pęcznić. To czym ulżyli statkowi przez wyrzucenie kilkunastu worków zostało przez morze zwrócone ciężarem wody. Kiedy okręt wygrzebał się na powierzchnię znów zaczęli wyrzucać. Wyrzucali, wyrzucali.

Lecz w końcu poczęło im braknąć sił. Ręce mdlały, zapał stygł. Walka wydawała się beznadziejną. W końcu przestali pracować. Powrócili do swej obojętności. Z jakim rzucali się na ziemię. Prózno Petesuchos wołał; już nawet marynarze byli mu nieposłuszni. Nikt przecież na okręcie nie jadł od chwili uderzenia huraganu. Nikt także nie spał. Noc, która nadeszła — czarna i bezgwiezdna — wydawała się wcieloną rozpaczą. Wicher dał ciągle, morze charczało zło i zaciekle. Najmniejszy podzrut, nagle przewalenie się okrętu na bok sprawiały, że leżący ludzie toczyli się po zalany wodą dnie, wpadali jeden na drugich. Skarżyli się jękiem i popłakiwaniem. Brakło im już nawet sił, by krzyżeć. Arystarach zdołał przynieść rannemu kilka łyków wody na dnie dzbanka. To było wszystko co mógł zdobyć. Potem pracował przy wynoszeniu worków. Teraz leżał beznia. Szary ranek nie przyniósł żadnej zmiany. Łukasz tylko spostrzegł, że nie ma obok nich Pawła. Przestraszył się. Przyszło mu do głowy, że Paweł mógł wysunąć się na pokład i zostać stracony do morza. Nie mogąc się uspokoić wstał i począł szukać przyjaciela. Obszedł całe podpokładzie. Pawła nie było. Pokonu jąc sztywność mięśni, Łukasz wciąż nął się po drabinie. Wyjrzał na pokład. Był on lśniący od wody, zupełnie pusty, tylko łódź leżąca dnem do góry targała się na linach, zaś koło steru siedział przywiązany szurami Petesuchos, nagi, mokry, z twarzą wpadniętą. Wiatr dał dziko, lekarzowi wydało się, że jest cze groźniej niż przedtem. Horyzont był zamknięty wałami wody. Zsunąwszy się na dół, nie wiedział co ma myśleć o zniknięciu przyjaciela. Zanosił się płaczem. Był pewien, że Paweł zginął. Nagle, na dnie rozpacz, zrodziła się w nim myśl. Znowu wszedł na drabinę, znowu wyjrzał na pokład. Woda zmywała go raz po raz, grzywiaste bałwany nadlatywały od tyłu i przelewały się przez rufę. Wyglądało na to, że nie można ani na chwilę ustać na deskach. Ale niepokój o nauczyciela był mocniejszy niż lęk. Łukasz wysunął się z luku. Szedł na czworakach, rozplaszczony, przywierając całym ciałem do pokładu. Potem udało mu się schwytać opasującą okręt linę. Dzięki niej dotarł do drugiego luku, prowadzącego do podpokładzia wiosłarzy. Zaraz po wybuchnięciu huraganu żołnierze zamknęli luk na ciężką, żelazną sztabę. Ale teraz sztaba była odłożona, luk otwarty. Jednym skokiem lekarz znalazł się przy nim. Zajrzał do środka.

W dole był chaos nagich, skłębionych ciał. Gdy wśród pasażerów i załogi zapanowała apatia, tutaj wrzała ciągle jeszcze wyjąca rozpacz. Każdy rzut okrętu wywoływał nowy wybuch. Ludzie szczepili się ze sobą, zdawali się walczyć. Stali się płataniną rak, nóg i łańcuchów. Taczali się wzdłuż łańców, krzyżeć — musieli krzyżeć — choć po-

M O R Z U

szczególnych głosów dobywających się z rozpaczliwie rozdartych ust, Łukasz nie mógł rozpoznać. Ale w tej opętanej ciżbie grupa sześciu czy siedmiu ludzi zachowywała spokój. Uczepiona choboczącej się ławki siedziała otaczając człowieka ubranego, lecz jak wszyscy w łańcuchu. Łukasz od razu poznał Pawła. Szybko zsunął się z drabiny, przedzierał się ku niemu poprzez splecione gąszcz ludzki. Nagła radość ze znalezienia przyjaciela przerodziła się w nim w gniew.

— Pawle! — zawołał. Ale Pawle nie usłyszał tego okrzyku. Mówił dalej do otaczających go ludzi. Kiedy Łukasz stanął tuż nad nim, usłyszał: „...i nie ma niewolnika ani pana, Żyda, ani Rzymianina... Wobec Niego wszyscy jednacy...”

— Pawle! — powtórzył niecierpliwie. Jakby obudzony, Apostoł podniósł głowę. Uśmiechnął się.

— Czy chcesz czego, Łukaszu?

— Jaki? — jak to? Szukałem przecież ciebie... — zaczął. Pawle uśmiechał się dalej i Łukaszu zabrakło słów. Innym już tonem do dał: — Niepokoiłem się... — Zaledwie to powiedział, a już ten niepokój wydał mu się czymś błahym i śmiesznym. Trzymając się jakiejś podpory z pokorą patrzył na uśmiechniętego nauczyciela.

— Masz rację — przyznał Pawle łagodnie, — powinienem był was uprzedzić, że tu idę. Ja wieziony — do więźniów... Ale teraz wróćmy... — Pożegnał uściskiem dłoni otaczających go wioślarzy. Przyjdź znowu do was — zapewnił. — Pan z wami.

— Przyjdź, przyjdź znowu — wołali za nim! Jeszcze z drabiny widzieli jak powiewają za Pawłem rekoma. Na pokładzie wpadli zaraz w objęcia wiatru zapierającego oddech i zdzierającego z ciała odzież. Morze zdawało się gotować: pieniało się, pluło kroplami. Rosło nieustannie górą wody, które się przez okręt przetaczały. Lina opinająca pudło skrzypiała żałośnie. Nadlatujący bałwan poniósł ich i byłby ich ściągnął do morza, gdyby się nie uchwycili sznurów przytrzymujących łódź. Wzepieni jedną ręką w sznury, drugą trzymali jeden drugiego za ramiona. Ledwie woda spłynęła podnieśli głowy i gwałtownie zaczęli powietrza w płuca. Poczołgali się do luku. Byli mokrzy, zbici przez wiatr i przez wodę. Na dole odnaleźli Arystarcha, który powitał ich okrzykiem. Był pewny, że zginęli.

Lecz zaledwie znaleźli się na spodzie okrętu ogromny śłup wody zalał się nad pokładem. Rozległ się huk, trzask, łoskot jakby wielu piorunów naraz. Pokład zdawał się rozlatywać nad nimi w kawałki. Woda ohluszona przez luk. Przygnieciony okręt zaczął obsuwać się bezwładnie w dół.

— Giniemy! — ktoś zawołał obok nich — Serapisie!

— Giniemy! — odpowiedziało mu kilka głosów — Neptunie! Posejdonie?

— Giniemy! — wyszeptał Łukasz, szukając w mroku ręki Pawła — Jezu, ratuj nas!

Ciągle jeszcze żyli, ciągle jeszcze skołatany okręt trzymał się na powierzchni. Dni mijały za dniami, a oni lecieli wciąż w szarą, rozdygotaną od wiatru cinę. Zataczali się na wzburzonych falach, jak płomień na pochodni, to przytłukiwany tchnieniem wiatru, to znowu usiłujący powstać. Huragan niósł ich bezwładnie w nieznanym kierunku. Nie wiedzieli ku jakim brzegom zbliżają się. Marynarze powtarzali z przerażeniem: „Jeśli lecimy na Wielką Syrtę — jesteśmy zgubieni...”. „Brzeg Libii, kraina Lotofagów, spoglądał spoza ich słów swoimi mieliznami. Lecz wcześniej niż rąfy i mielizny, groziło im rozdarcie przez morze. Nieustannie bity przez fale, zalewany kolumnami wody, zapijany raz po raz okręt wyglądał coraz żałośnie i coraz żałośnie jęczał każdym swym włókniem. Porobiły się szpary, przez które przesączała woda. Petesuchos odnalazłszy jakąś lampkę oliwną i zapaliwszy ją, w towarzystwie dwóch najlepiej trzymających się jeszcze na nogach marynarzy, obchodził spód okrętu. Dysząc ciężko, tak ich męczył najmniejszy wysiłek, zatykali każdą sprostszą szparę. Poprzez belki czuli niepoohamowaną furję żywiołu. Można by pomyśleć, że po tężne pięści stopy, łomoczą, nieustannie w pudło okrętu i zgniatają je z taką siłą, że aż silne modrzewie we tramy chrzęszczą niepokojąco. Ale praca wyczerpała Petesuchosa wcześniej, niż zdołał obejść cały okręt. Marynarze już wcześniej opuścili go; po prostu pokładli się bezradnie na ziemi. Kapitan został sam, ze swą lampką w jednej ręce, z dżutem do zapychania i z garścią tłustych kłaków w drugiej. Gdzieś kapała woda — Petesuchos swym doświadczonym uchem marynarza słyszał ten dźwięk w nieustannym ryku huraganu. Nie miał jednak siły, aby iść szukać szczeliny. Lampka mu gasła. Długi cień, jaki jego postać rzucała na ścianę okrętu — zafamany przez krzywiznę pudła — szarzał i wsiąkał w mrok. Równie chwiejny jak cień, Petesuchos przeszedł jeszcze parę kroków, a potem padł na ziemię. Leżał bezsilny, zrezygnowany. Tak samo — nieco dalej — u stóp mokrego zwał wórow — leżeli podróżni. Już żadnego z nich nie mógł wezwać do wyrzucania ładunku. Nikt się nie ruszał. Nawet wioślarze w swym podpokładzie leżeli nieruchomo. Wydawali się nie żyjącymi. Nikt nie wierzył w ocalenie.

Petesuchos, leżąc twarzą na deskach, uświadomił sobie, że musi mieć gorączkę. Białe majaki przelatywały mu przed zamkniętymi oczyma, nierytmiczne podrzuty okrętu zamieniły się w jakiś oszalały wir. Nagle ogarnęła go myśl, że już prędzej zginąć. Nie miał siły na dalszą walkę. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mu się walczyć tak długo. Lecz teraz przyszedł kres. Musi zginąć — on i okręt. Nie doprowadzi swej quadriremy, na której tyle lat pływał, do szczęśliwego portu. Trudno. Nie nieciecie się z rąk rozgniewanych bogów.

Zdawało mu się, że ktoś się obok niego czołga. Jakaś ręka dotknęła jego ręki.

— To ty, Petesuchosie? — powiedział głos.

— Ja... czego chcesz...? Nic ci nie pomogę! Ktoś ty?

Nowe uderzenie góry wodnej o

pokład. Myśl już nie broni się przed grozą, lecz serce zamiera — ucieka gdzieś pod gardło. Okręt dał nurka, lecz zaraz wynurzył się chwiejnie nad fale. Ogromnym wysiłkiem wydzwignął z topieli swe pudło obciążone stosem mokrych wórow.

— To ja: Paweł, więzień — mówi tamten. Zadzźwięczał na mokrych deskach wleczone łańcuch. — Petesuchosie...

Niechętnie odwrócił głowę.

— Nie chcę cię słuchać... Daj mi spokój... Wszyscy chcecie ode mnie pomocy. Nie ma... Mieście żal do bogów...

— Ale wysłuchaj mnie — Paweł mówił śpiesznie. — Chcę abyś powiedział wszystkim wieść pomyślną. Nie zginiemy! Nikt nie zginie! Tylko okręt... Widziałem anioła Bożego...

Petesuchos ciągle odwrócony gniewnie wzruszył ramionami.

— Odejdź! — parsknął. — Nie jestem szaleńcem, abym wierzył szaleńcom!

— Petesuchosie — głos człowieka w ciemnościach brzmiał spokojnie, lecz natarczywie, — ja nie oszalałem. Ale dziś w nocy anioł Boży był naprawdę przy mnie...

— Może sam wielki Ra? Odejdź!

— Nie odejdziesz. Powiedz im...

— Precz! — Na ślepo machnął w powietrzu zaciśniętą dłoń. Paweł cofnął się. Starek chybotął się, podskakiwał, jęczał od uderzeń, które to go wyrzucały ponad fale, to znow wślazły w głąb. Tych ludzi zrozpaczonych i złamanych trzeba było podźwignąć. Ukłękł. On sam modlił się ostatnio dzień i noc. Wiedział, że nie zginie, nie może zginąć. Wiedział, że danym mu będzie zobaczyć stolicę świata i jej władcę. Ale zapragnął, aby nie zginęli ludzie, z którymi płynął. O ich życie modlił się uparczywie, rzucał podskokami ledwo już trzymającego się statku. Tak było w nim zawsze, że ludzie z którymi się zbliżył, stawali mu się drodzy, bliscy i za nich gotów był nawet oddać siebie.

Zebrał siły. Począł krzyżeć, natarczywie głos, by być słyszany mimo wściekłego łoskotu fal, miażdżących okręt:

— Słuchajcie, bracia! Bądźcie dobrej myśli! Nie zginiecie! Wiem, że ocalejemy. Tylko okręt zatoni...

Odpowiedziało mu cisza. Nikt się nie ruszył. Tylko słychać było biegające szczury i niemilkący łoskot morza.

— Słuchajcie — wołał znowu — nie zginie nikt...

Ktoś zaśmiał się gorzko w ciemnościach. To był jedyny głos, który mu odpowiedział. Ale on poczekał, doświadczonym uchem nauczyciela, że jego słowa nie padają w próżnię.

— Wiercie mi... — nagle zmienił ton. To było wstrząsającą tajemnicą słów Pawła, że gdy począł po prostu opowiadać o tym, co się dokonało z nim samym, ludzie ulegali mu lub buntowali się. — Dziś w nocy... zjawił się przede mną... anioł Boży... i powiedział: ocalejcie... Musisz bowiem... stanąć przed cesarzem... a wszystkich, którzy są z tobą... daruje ci... Pan...

Teraz nikt się nie śmiał. Miłozenie było oczekiwaniem. Doszedł go z dalekiego kąta podpokładzia głos Juliusza:

— Jemu wiercie! To dziwny człowiek... On wie...

Obsunął się na deski, wyczerpany krzykiem. Lecieli dalej w zbalwanioną dal bez kierunku. Znowu waliły się na nich góry wodne, wbiły ich pod powierzchnię, dary wiązaniami okrętu, miażdżyły każdą deskę, każdy łokieć burty. Leżeli bezsilni — połową tylko świadomości przyjmując uderzenia morza — połową zagubieni na odległych ładach. Nie mieli siły, by wyglądać na pokład. Ta potwornie wielka, skłębiona i kipiąca, zielona masa działała na nich przynębiająco. Woleli jej nie widzieć, woleli nie patrzeć jak z hukiem rozdzieranego drzewa zrywa się nagle — na jakimś skrawku równiny wodnej — grzywiasty pas, jak rośnie, wzbiera, warczy, ryczy, pieni się, wspina, urasta, ściga ich, dogania, dopada, przelatuje nad okrętem mokrą, wyjąca chmurą, rwie, drze, szarpie, zatapia, grzebie sobą — niby potwór przywalający swą ofiarę rozdzieranym cielskiem. I tak ciągle, bez końca, w jakimś opętaniu czy furii. Nie chcieli patrzeć na morze. Byli od niego daleko. W każdym z nich jednak pozostało echo słów małego człowieka w kajdanach, echo niby lampka mrugająca w mroku. Tylko morze gasiło jej blask. Odżywał po każdym wydzwignięciu się z topieli, zapadał na nowo w ciemnościach, gdy rósł huk nadciągającego wodnego wału. Czasami na okręt spadało uderzenie krótkie i niespodziewane, jak cios pięści. To było najokropniejsze. Leżąc w półmroku, zamierali. Serca biły ciężko; rozdzierały piersi. Innym razem nadchodziły chwile niezrozumiałego spokoju, prawie ciszy. Wtedy napięcie rosło z każdą minutą ociągającego się ciosu. Serca waliły prędko, gwałtownie. Woda na dnie okrętu, przeluwając się, bulgotała gniewnie. Zdawała się odpowiadać przyjaznym okrzykiem na huk uderzających fal. Pluskiem z chłopotem zdradzała nadciągający chybot.

Czternasty dzień zamierał w ciemnym podpokładzie skołatane-go okrętu.

Lecz nagle stała się rzecz wstrząsająca. W jednym momencie wszyscy odzyskali siły, zerwali się na nogi. Kłocząc się i depcząc dopadli drabiny. Drżące dłonie chwyciły za szczeble. Roziskrzzone gorączką oczy podniosły się w górę. To wyglądało jak bajka: górny brzeg luku zaszedł czerwienią. Wyciągnęli ku niej ręce niby ku czarodziejskiemu kwiatowi. Ale blask nie znikł. Więc to nie była bajka! Jeden przez drugiego pili się w górę. Wiele głów wynurzyło się nagle nad pokład. Wiele błądych, zsiniałych twarzy zwróciło się w jednym kierunku. Przed nimi, nad rozbełtaną — rdzawoczerwonymi płatami ciania zarzuconą powierzchnią — leżała czerwona pręga. Nagi pokład, maszt, potrzaskana galeria tylnego pomostu coraz mocniej kapały się w czerwieni. Wiatr dał dalej, ale wydało im się, że dmie inaczej. Nie tłoczył nad nimi czarnego oparu, ale pozwalał mu ściekać na południowy skłon nieba. Porwane kawały chmur odlatywały także niby złowrobnie ptaki. Znowu uderzyła fala i zalała patrzających. Ale oni nie dali się oderwać od luku. Ociekając wodą nie przedstawiali patrzeć na zachód! Wiedzieli już, że nie lecą w przerażające objęcia Wielkiej Syrti. Płynęli. W ten wieczór po raz pierwszy od tylu dni zobaczyli niebo. Czerwona kula wyplątywała się z resztek mgieł. Różowość rozpełzała się coraz szerzej i pogodnie bladeła. Wróciły im siły. Wyszli na pokład, trzymając się kurczowo lin patrzyli w przestrzeń. Słońce zapadało coraz niżej. Jego blask migotał: to gasł zalewany przez fale, to znowu odżywał, gdy fala opadała lub ich wynosił w górę badwan. Gdzieś po przeciwnej stronie nieba, coraz czystszej, zamajaczyła gwiazda. W tej chwili — poprzez huk morza — który był ciągle na nowo rozpoczynającą się muzyką — posłyszeli wrzask człowieka:

— Ohej! Ohej!

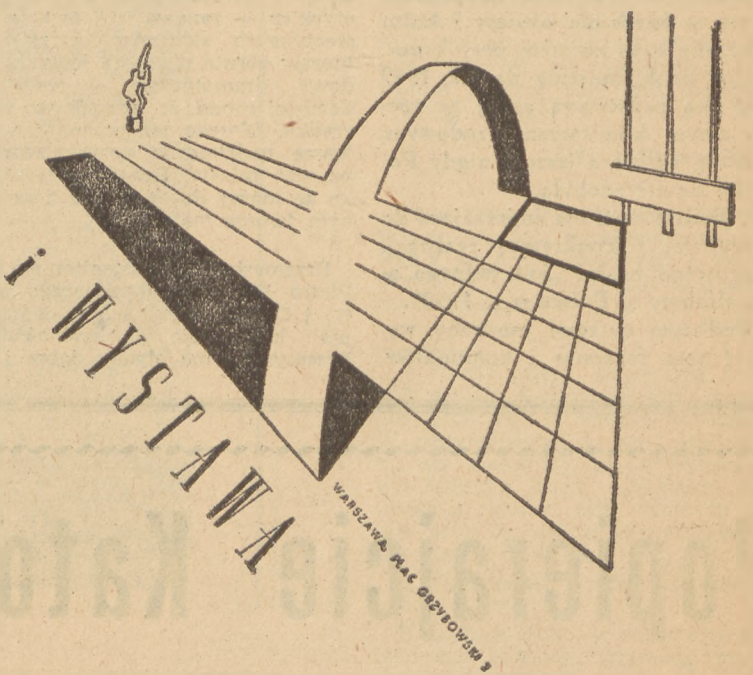
Jeden z marynarzy wdrapał się na maszt. Teraz pokazywał coś ręką w olśniewającej zachodem dali.

— Ohej! Ziemia! Ohej!

Nie widzieli jej, nie mogli jej zobaczyć. Może to było tylko przewiedzenie zgorączkowanego oczu? Ale już wszystko nabrało innych barw. Ich ciała poczęły drżeć pragnieniem czynu. Zdało im się także, że nagle orkan ustał a po morzu rozlała się oliwa. W rzeczywistości huragan miótł dalej a morze ryczało jak przedtem. Słońce także zapadło na widnokręgu. Niewielu błądymi gwiazdami znaczone noc nadeszła. Lecz znalazła ich już chciwymi życia.

Jan Dobraczyński

WNETRZE



I WYSTAWA

WARSZAWA, PLAC BRZEWOWSKI 3

TYDZIEŃ KULTURALNY

W SEJMIE O KULTURZE

W wyborze tematu do tygodniowego felietonu o sprawach kultury zwyciężyć musi wydarzenie, które dotyczy przyszłości.

Dlatego na uboczu zostawimy o publikowaną w prasie partyjnej wypowiedź wiceministra Soborskiego, stanowiącą próbę syntezy osiągnięć ubiegłego roku, a zajmemy się świeżymi jeszcze echemi 52 Sesji Sejmowej.

Dużo mówiło się w gmachu na Wiejskiej o sprawach kultury. Jest to objaw pocieszający. Dobrze, że te dziedziny życia narodowego stawa się obok innych na równym poziomie zainteresowań.

Stan bieżący i przewidywana przyszłość życia kulturalnego podawane były niejednokrotnie w lapidarnych, cyfrowych skrótach.

Warto zanotować kilka tych cyfr. Preliminarz budżetowy Państwa na rok 1949 przewiduje łączne wydatki na oświatę, kulturę i naukę 77,4 miliarda złotych, co stanowi 22,2 proc. ogólnych wydatków państwowych.

Nie mogę sobie odmówić popularnej dziś przyjemności porównania danych aktualnych z tym co o tej samej dziedzinie mówi ujęta w słownym cyfr historyka lat między wojennych dwudziestolecia.

W roku 36/37 na ów te wydatki kwano 15,1 proc. ogólnego rozchodu państwowego.

Rzecz jasna, iż przedwojennym byłby entuzjazm z bezpośredniego przyrównania tych cyfr. Trzeba tu uwzględnić, iż obecnie państwo wzięło na siebie ciężar utrzymania wszystkich szkół i niemal wszystkich instytucji związanych z życiem naukowym i kulturalnym. Tym niemniej mimo to zastrzeżenie, porównanie jest krępujące.

Premier rządu zapowiada, iż w roku 1949 będziemy mieli w kraju 3,5 raza więcej przedszkoli niż przed wojną, przy czym ilość dzieci objętych przedszkolami wzrośnie (pamiętać należy o zmniejszeniu się liczby ludności w kraju) w tym samym mniej więcej stosunku.

Dowiadujemy się, że w roku 1949 w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrośnie ilość szkół o 3,6 proc. a ilość uczniów o 6,6 proc.

Ołówkę sprawozdawczy notuje dane o stanie studiujących na wyższych uczelniach. Wynika z cyfr, że podczas gdy w r. 1938 (na 35 milionów mieszkańców) było 48.000 studentów, to w roku 1948 (na 25 milionów mieszkańców) było ca 100.000 studentów.

Wszystkie te dane cieszą. Premier Cyrankiewicz zgotował nam jednak inną jeszcze niespodziankę.

W exposé szefa rządu usłyszeliśmy:

„Ażby to wszystko, co planujemy w dziedzinie oświaty i kultury, nie było kwiatem przy kołach, proklamujemy na rok 1949 wielką państwową akcją ze specjalnym komisarzem rządowym, akcją, na którą jeszcze nigdy Polska się nie zdobyła.

Będzie to akcja zmierzająca do szybkiej i konkretnej realizacji prostego hasła: „ani jednego analfabety w Polsce w r. 1950”.

Pod tym cytatem możemy wypisać tom frazesów i komunałów.

Trzeba unikać pustych słów. Wystarczy prosty komentarz. Czas już na to najwyższy.

Z tego co się w Sejmie mówiło o kulturze można i należy wyciągnąć jeden wniosek.

Mówiło się u nas dużo o planach kulturalnych. Mam wrażenie jednak, że myślało się wówczas tylko o planowaniu produkcji. O tym co ma grać teatr, co mają pokazywać kina i jaki wiersz ma napisać wieszcz Gałczyński. Przy tej okazji byliśmy ciągle na niebezpiecznym rozstaju. Którą drogą? Obniżać produkcję dóbr kulturalnych do poziomu mas, czy masy podciągając do prawdziwych dzieł sztuki.

Mówiło się oczywiście o jednej tylko drodze, o drugiej. Ale mimo to Morstin tworząc widowisko dla mas wolał wybrać pierwszą. Cóż miał robić?

Brakowało w tej zagadce jednego elementu. Brakowało świadomości, że o dziełach sztuki dla mas, można będzie mówić dopiero wówczas, gdy masy będą tego dzieła potrzebowały, krótko mówiąc: najpierw oświata. Od tego wszystko się zaczyna.

Jeśli więc mowa o planowaniu w kulturze, to ważniejszym zadaniem od ustalenia norm produkcji dóbr kulturalnych jest rozsądne zaplanowanie akcji przygotowania przyszłych konsumentów.

Sądząc z tego co się mówiło w Sejmie, wkraczamy właśnie na tę właściwą drogę.

OGÓLNOPOLSKI ZJAZD LITERATÓW W SZCZECINIE

W dniach od 21 do 23 bm. odbędzie się w Szczecinie ogólnopolski zjazd Związku Zaw. Literatów. Na zjazd przybędzie ok. 60 delegatów Związku z całego kraju. W zjeździe wezmą udział delegaci z zagranicy.

JUBILEUSZ

EWY SZELBURG-ZAREMBINY
Ewa Szelburg-Zarembina obchodzi w bieżącym miesiącu 25-lecie swej działalności pisarskiej.

Jak wiadomo Ewa Szelburg-Zarembina uzyskała nagrodę m. st. Warszawy za twórczość dla dzieci.

W celu uczczenia zasług jubilatki zarząd oddziału stołecznego Z.Z.L.P. urządził dnia 11 bm. zebranie towarzyskie.

NAGRODY M. ŁÓDZI

Dorocznym zwyczajem m. Łódź przyznało szereg nagród pieniężnych artystom, wystawiającym swe prace na 4-iej dorocznej wystawie Zw. Polskich Artystów Plastyków w Łodzi.

Nagrody otrzymali tym razem art. malarze: A. Lubniewicz, E. Pisarek, W. Wołosewicz, S. Niemirski i B. Pacanowski.

„JANKO MUZYKANT” — JAKO OPERA

Witold Rudziński ukończył I Suitę Polską na fortepian. Suita zawiera

4 części: hejnał, kujawiaka, krakowiaka i taniec kurpiowski.

Obecnie kompozytor pracuje nad 1-aktową operą, osnutą na tle noweli Sienkiewicza „Janko Muzykant”. Libretto napisali T. Borowski i St. Wygodzki.

LEOPOLD STOKOWSKI BĘDZIE DYRYGOWAĆ UTWÓREM PANUFNIKA

Światowej sławy dyrygent, Leopold Stokowski włączył do programu koncertu symfonicznego, którym dyrygować będzie 24 marca br. w Londynie — „Uwerturę tragiczną” — Andrzeja Panufnika.

PRACE POŚWIĘCONE DZIECIOM LUDNOŚCI POLSKIEJ NA ŚLĄSKU

W Państwowym Archiwum we Wrocławiu zespół historyków opracowuje pod kierownictwem prorektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dra Wysłoucha szereg publikacji, poświęconych dziejom ludności polskiej na Śląsku.

Do głównych prac przygotowywanych obecnie należą rozprawy: „Polscy robotnicy sezonowi na Śląsku”, „Polskość w kościele ewangelickim na Śląsku”, „Polsko-niemieckie zmagania na Śląsku”, „Polskie Szkolnictwo i sądownictwo mniejszościowe na Śląsku Opolskim”, oraz praca — poświęcona historii polskich organizacji robotniczych na Śląsku Opolskim.

Równolegle przygotowywane są wydawnictwa, obejmujące najciekawsze materiały archiwalne.

SPROWADZENIE ZWŁOK KAZ. BRODZIŃSKIEGO

W Bochni powstał komitet, złożony z przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, mający za zadanie sprowadzenie do kraju zwłok Kazimierza Brodzińskiego, wybitnego poety z okresu romantyzmu, autora ludowej epepe „Wiesław”.

Brodziński pochowany jest w Dreźnie, skąd w ciągu roku 1949 zwłoki jego zostaną przewiezione do kraju i spoczną w miejscu urodzenia poety, we wsi Królówce, koło Wiśnicza.

W miejscowości tej znajduje się zabytkowy kościół drewniany z XV-go wieku, w którego bocznej kaplicy powstanie mauzoleum poety.

Kościół ten, zniszczony w czasie okupacji, został odnowiony staraniem woj. oddz. Ochrony Zabytków

POLSKO - CZECHOSŁOWACKA WSPÓLPRACA NAUKOWA

Na zaproszenie Uniwersytetu w Brnie Morawskim wyjeżdża do Czechosłowacji wybitny polski prehistoryk prof. U. P. dr Józef Kostrzewski.

Prof. Kostrzewski wygłosi w Brnie cykl wykładów o stosunkach łączących obszar Polski z terytorium Czechosłowacji w czasach przedhistorycznych.

LIST Z POZNANIA 4)

Roman Brandstaetter napisał dla Poznania — „Przemysława Drugiego”. Prapremiera tej sztuki w naszym Państwowym Teatrze Polskim (dyrektor Władimir Horzyca) obudziła ogólne zainteresowanie przede wszystkim ze względu na cenionego autora, a także z przyczyn inscenizacyjnych.

Trzy są główne zalety nowego dzieła Brandstaettera: najpierw szczęśliwy pomysł udratyzowania postaci z dzieł Polski i Wielkopolski: w szczególności, następnie przekonująca konstrukcja utworu, zbudowanego podług klasycznych reguł — szekspirowskich wreszcie tendencja uszlachetniająca etyczne. Stroną językową — stylizacyjną dramatu robi wrażenie (po jednorazowym jego wysłuchaniu) raczej twórczości z właściwym mistrzowski talentem ale bez cierpliwości: przy czelowaniu szczegółów. Na przykład archaizacja nie jest przeprowadzona konsekwentnie, lecz jakby w formie mechanicznych cytatów ze starej polszczyzny — w tekście zasadniczo nowoczesnym. Zaś refreny „morskie” działają sugestywnie, choć bodaj przydałoby się czasem większe urozmaicenie obrazów poetyckich — zamiast tu i ówdzie występujących sloganów. Artystycznie biorąc: gorzej u autora instynkt budowy dramatycznej — rzecz tym bardziej cenna, że stosunkowo u nas rzadka. Dlatego też pokładamy najlepsze nadzieje w pozyskaniu dla naszego miasta Brandstaettera, jako że mamy do czynienia z urodzonym twórcą teatralnym.

Przemysław Brandstaetter ma rysy Piotra Wielkiego (budującego okręty) i Cezara Borgi (chęć zjednoczenia kraju, ale i skrytobóstwo). Przemysław ma strony dobre i złe.

Tyran, gwałtownik działa w imię wyższych celów. Jest zasługą autora, że stworzył postać realistyczną, plastyczną, że rozłożył umiejętnie światła i cienie — zamiast posługiwać się figurą białą albo czarną. Realizm ów podporządkowuje Brandstaetter — tendencji dydaktycznej, umoralniającej. Cel chociażby największy nie uswieca jeszcze środków — oto moral pływacy ze sztuki Brandstaettera. Człowiek jest wartością bezcenną zabójstwo — grzechem. Osaczony Przemysław robi rachunek sumienia i poznaje swoje błędy. Rację miał arcybiskup. Król kleka — zanim będzie się bronił; wzbudza w sobie „zał doskonały”, a w widzach litość i sympatię. Wyjątkowo bowiem można zobaczyć w sztuce współczesnej — bohatera, umierającego w sposób równie przykły. Monologi wypowiedziane z tej okazji nie rażą bynajmniej swoim przeciw-naturalizmem, podkreślonym zresztą inscenizacyjnie (nie mieszają naturalizmu z realizmem).

Dekoracje i kostiumy dla „Przemysława” — bardzo teatralne — skomponował Jan Kosiński. Reżyseria Trzcieniego stworzyła sytuację pełną napięcia. Rola Przemysława jest nielada popisem dla aktora. W głosie i w gestach Kazimierza Wichniarza była demoniczna potęga króla, który żyć będzie w burzy bałtyckiej i szumie sosen targanych wiatrem od morza. Małgorzata Janina Jabłonowska była naprzemian władczą i kuszącą. Korzystnie wyróżnia się Ludgarda Teresy Waśkowskiej i w malej roli rybałto — Zdzisław Salaburski. Natomiast Ludwik Benoit grał arcybiskupa w sposób karykaturalny i bez żadnego doświadczenia. Ilustracja muzyczna Stanisława Wiślockiego — napisana z kapelmistrzowskim wyczuciem bar-

wy — wprowadzała ponury, średnio-wieczny nastrój przy spuszczonej, czarnej kurtynie i zgaszonej rampie, a także w czasie akcji. W sumie — na ogół bardzo staranne przedstawienie, a sama sztuka godna poznania — także poza Poznaniem.

Rywalizujący z tamtym teatrem — „Nowy” dyr. Szczerebrowskiego (niech żyje rywalizacja!) ukazał nam „Lato w Nohant” Iwaszkiewicza. Wybitne walory tej sztuki Warszawa doskonale zna. Nie będę się przeto rozpisywał — chyba tylko na marginesie. Iwaszkiewicz odhrazował panią George Sand przeciwstawiając jej romantycznej socjalistce — Chopina jako arystokratę ducha. Za wyjątkiem bowiem drobniaków w rodzaju „sceny” o pulardę jest to nad człowiekiem tajemnicze zjawisko, bohater prawie że w stylu Carlylea. Koncepcja wykonawcza w Teatrze Nowym poszła właśnie w kierunku podkreślenia tego kontrastu. George Sand okazuje się skończoną jedzą, bezduszną materialistką, Dulską itd. Zapominamy, że była to jednak nie pospolita kobieta idąca w awangardzie swojej epoki. Fakt, że dzieło muzyczne Chopina jest nieśmiertelne, a wartość literacka pism jego przyświeca: w dużym stopniu się ulotniła, wcale jeszcze nie przeczy, że indywidualność ta przeszła do historii idei społecznych. Faktycznie miłość Chopina i George Sand była spotkaniem się osób z których jedna i druga wyrastały ponad miliony przeciętnych zjadaczy chleba.

Ciekawie dla dzisiejszego ucha brzmią kontrowersje tej pary, na przykład w scenie gdy autorka „Indy” głos „sztukę dla ludu”, a Chopin replikuje dość ezoterycznie — „sztukę dla narodu”. Wydaje mi się, że muzyka istotnie narodo-

wa musi równocześnie być dla ludu i że właśnie Fryderyk Chopin okazał się klasycznym przypadkiem genialnego kompozytora, na którym w lot poznała się tzw. szersza publiczność (nie licząc krytyka Relstabala...). Muzyka chopinowska wcześniej też zablądziła pod strzechy i dzisiaj każda paniąka, stukająca na fortepianie, zna „Walce” i „Nokturny” mistrza. Ale wróćmy do sztuki Iwaszkiewicza.

Teatr Nowy włożył solidny wysiłek w jej realizację. Wymienimy przede wszystkim reżysera Chaberskiego. Z aktorów wybiła się Solange Kiernikówna. Oczywiście także Lidia Korwin, mająca warunki zewnętrzne na panią Aurorę i głos palczki cygar (ale mało czaru w scenie omytywaną Chopina — odgrzewającej wspomnienia miłosne na zimno). Partner Młodnicki — nie ledwie Herkules, jakoś nie wazał mi się w wyobrażeniu waflej astepnicznej sylwetki autora „Preudów”. Był jednak bardzo „nadludzki” — w duchu pewnej konsekwentnie przeprowadzonej linii przedstawienia.

Szczerze bawiłem się w Komedii Muzycznej — „Stomkowym kapeluszu”, prześmiewanym przez Tuwima. Teatr ów postępuje na drodze groteski, do której okazją jest umyślnie niedorzeczna jakby z dręczącego snu wzięta peregrynacja i awantury arabskie. Reżyseria Artura Młodnickiego. Figura zdręźnionego męża (Stanisław Janowski) napewno pozostanie w pamięci — właśnie przez swoją ultragrotteskową. Podobał mi się efekt z tańcami z awanturą. Jakieś wariactwa w dekoracjach, umyślnie skomponowane kostiumy trochę lepszej muzyki — a klaskałbym jeszcze gorzej.

Feliks Maria Nowowiejski

Popierajcie Katolicki Uniwersytet Lubelski

Marek Antoni Wasilewski

Temat do dyskusji o ewolucji

Z niemałym zdziwieniem przeczytałem w „Znaku”, w rubryce „Zdarzenia — Książki — Ludzie”, artykuł p. t. „Biolog świadkiem wiary”. Nie wiem, czy niektóre zdania tego artykułu, opartego na publikacji ogłoszonej w „Raeder's Digest”, przypisać należy błędnemu tłumaczeniu, czy też rzeczywistym myśleniom profesora Lecomte du Noüy.

Jako jeden z bezspornych faktów dotyczących ewolucji, który nie może ulegać wątpliwości, jest, zdaniem profesora Lecomte du Noüy, ewolucja ku formom coraz bardziej złożonym.

Otóż, odważyłbym się na krytykę tego twierdzenia, gdyż ewolucja bynajmniej nie cechuje się wyłącznie dążeniem do realizowania form coraz bardziej złożonych, lecz odwrotnie. przyrodnik spotyka się często z ewolucją dążącą do form coraz bardziej uproszczonych. Z przykładami ewolucji dążącej do uproszczeń spotykamy się przede wszystkim w przypadku pasożytów zwierzęcych, wśród których istnieje ogólna tendencja do zredukowania wszystkich wewnętrznych organów, za wyjątkiem organów rozmnażania. Pasożyt idealny chłonąłby bowiem całą powierzchnią ciała pokarm dostarczany mu przez gospodarza w formie gotowej do przyjęcia, nie potrzebując ulegać uprzednio żadnym procesom trawiennym, fermentacyjnym, czy innym. W związku z tym, następuje u wielu pasożytów kompletny lub częściowy zanik przewodu pokarmowego. Optymalna sfera środowiska pozwala na redukcję narządów oddechowych i tak otrzymujemy osobnika, który wyzbył się wszystkich zasadniczych organów, prócz płciowych, niezbędnych do utrzymania gatunku.

Podam trzy konkretne przykłady z pola zakresu parazytologii, obrazujące jeszcze lepiej tendencję do wtórnych uproszczeń, które, jak zobaczymy, nie są wcale przywilejem tak specjalnie przystosowanych do życia zwierząt, jak pasożyty. Weźmy jako obiekt badania, ramienionogi (Brachiopoda), zwierzęta, które w odległych epokach geologicznych znajdowały się w rozkwicie, dzisiaj bliskie są już zakończenia swego życia rodowego i reprezentowane są zaledwie przez około 250 gatunków. Otóż narządy trawienne ramienionogów są znacznie lepiej wykształcone u tych gatunków, które uważamy za pierwotnie uorganizowane (Lingula). U ramienionogów otwór odbytowy spotykamy tylko u form słabo zaawansowanych w rozwoju, natomiast formy o wyższej organizacji, otworu odbytowego nie posiadają. W innej grupie zwierząt, wśród jeźwoców (Echinozoa), obserwujemy tendencję do zaniku narządu szczękowego, t. zw. Lafarni Arystotelesa, która jest skomplikowanym aparatem, zbudowanym z części wapiennych, wydzielanych przez zwierzę. Aparat ten, spotykany z reguły u dawnych jeźwoców, stał się dla pewnych grup, które zmieniły środowisko, niepraktycznym relikwitem i grupy te, wykorzystując kierunek ewolucji zmierzający do uproszczenia, pozbyły się aparatu szczękowego.

Pośród pajęczaków (Arachnoidea) obserwujemy podział ciała na 2 odcinki: głowotulów (prosoma) i odwłok (opisthosoma). Wyższe pajęczaki posiadają tendencję do zrośnięcia się tych dwóch części w jedną całość, co uważane jest przez przyrodników jako najwyższy typ specjalizacji regresywnej, a więc ewolucji uproszczonej.

Przykładów ewolucji regresywnej mogłoby przyrodnicy przytoczyć dziesiątkami, jako że tendencja do uproszczeń nie jest obca przejawom ewolucji.

W ewolucji życie płynie nie w dół, lecz w górę — czytamy na stronie 79 „Znaku” — pod władzą takiego samego prawa: celowości. Od samego początku świata życie postępowało tą wznoszącą się drogą, zaczynając od bezkształtnej materii, a kończąc na myślącym i świadomym człowieku.

Jednakże nie należy zapominać, że przyrodnicy napotykają w swych pracach na przejawy ewolucji, którą trudno posadzić o jakąkolwiek celowość. Ewolucja, bowiem, potrafi płatać niektórym szczerpom przykre figle; potrafi być zupełnie bezcelowa — „głupia”. Rozpoczynając realizowanie jakiegoś wybranego

przez się kształtu, ewolucja nie potrafi znaleźć umiaru dla swego dążenia, co w rezultacie staje się zabójcze dla dotkniętego takiego typu ewolucja rodzaju zwierzęcego. Organizm podlegający ortogenezie, to jest ewolucji dążącej w ściśle przez siebie obranym kierunku morfologicznym, początkowo prosperuje świetnie, lecz finał bywa bolesny. Z chwilą, gdy ortogeneza zmienia się w hipertelię — „głupią ewolucję”, realizującą bez miary i wary plan z przed wieków, nie bacząc na to, że cel tego planu został już dawno osiągnięty i że dalsze posuwanie się ewolucji w tym samym kierunku grozi zagładą, rozpoczyna się schyłek szczerpu.

Objawy hiperteli obserwować możemy na przykładzie wygasłych mamutów. Kły¹⁾ tych zwierząt dosięgały częstokroć 4 metrów długości. Ich końce zbliżały się do siebie, a wreszcie zakreślały się w górę ku tyłowi, co w rezultacie tworzyło z nich bezużyteczne narzędzie, które nie mogło posłużyć, ani do zdobywania pokarmu (rycia w ziemi i pod śniegiem), ani też do skutecznej obrony przed nieprzyjacielem.

Analogicznie przedstawiała się historia czwartorzędowych jeleni — Megacerosów, których rogi rosły bezgranicznie, aż wreszcie stały się tylko ogromnym ciężarem, utrudniającym zwierzęciu poruszanie się (szczególnie w zalesionym terenie), ucieczkę przed napastnikami, jednym słowem stały się przysłowiową kulą, nie tyle u nogi, co u głowy, nieszczęsnych Megacerosów i zacydowały o ich eliminacji z królestwa zwierząt żyjących.

Dyluwialny kot, Machairodus, dotknięty miał hipertelią kły²⁾ górnej szczęki, które w szablowanej formie ciągnęły się daleko poza dolną szczękę, uniemożliwiając właściwe uchwycenie zdobyczy. Machairodus musiał więc uderzać na swoje ofiary, albo z zamkniętą paszczą, albo też musiał ją nadzwyczaj szeroko rozwierać. Kły miały stać się pomocą, tworzyły niczym dwie kolumny, niewygodną zapórę przed paszczą, uniemożliwiając drapieżnikowi łowy.

Hypertelia nie była żadnym objawem teratologicznym (potwornością), mimo iż wzrokowo mogła na taki wyglądać. Była ona normalnym objawem „przespecializowania” się, które okazywało się bardziej szkodliwe niż „niedospecializowanie się”. Drogą bowiem ewolucji tego rodzaju niedorozwój mógł być z czasem wyrównany do takiego stanu, jaki zapewniałby danemu szczerpowi możliwość przetrwania, podczas, gdy od hiperteli nie było drogi odwrotu, o czym poucza nas nieublagane prawo Dollo³⁾, mówiące, iż organizm, dochodząc do pewnych stadiów rozwojowych, nie może już nigdy powrócić do stadiów organizmu takich, jakie posiadali niegdyś jego przodkowie.

„Poprzez cały proces ewolucji — twierdzi profesor Lecomte de Noüy — istniały dwa rodzaje istot żyjących. Można by je nazwać dobrymi i złymi, albo rozwijającymi się i przystosowującymi się. Zły rodzaj, rodzaj przystosowujących się postępował zawsze tak jak było najwygodniej. Podporządkowywał się zawsze okolicznościom i otoczeniu, zgadzał się na nie i nie wykazywał woli postępu. Drugi rodzaj stworzeń odznaczał się buntowniczością i uporem. Nie chcąc podporządkowywać się dąży raczej do przewyższenia samych siebie i w ten sposób ewoluuje ku coraz wyższym formom.”

Zdanie to wydaje mi się wręcz nie do przyjęcia. De Noüy przykłada moralną miarę do czysto fizycznego zachowania się takich, czy innych istot i stąd może nieporozumienie. Złym rodzajem nazywa on przystosowujący się rodzaj. Przecież właśnie ten rodzaj przystosowujący się był rodzajem najbardziej postępowym, ten tylko miał szansę na przetrwanie i przetrwanie. Natura jest bezlitosna. To, co nie potrafi się przystosować do jej wymagań, do jej warunków, musi zginąć. Życie przeciw naturze łączy się zawsze z jakąś degeneracją wiodącą przedź, czy później do upadku. Ciałą właśnie „sztuką” było wykształcenie takiego gatunku, który byłby jak najbardziej plastyczny na wszelkie zmiany, na wszelkie niespodzianki, stawiane mu przez naturę, począwszy od temperatury, a skończywszy na środowisku. Przystosowywanie się zdaniem du Noüy'a, to postępowanie wygodne. Nie wiem, czy w ogóle można w podanych tu rozważaniach dopuścić tego rodzaju terminologię. O wygodnictwie mówić można tam, gdzie istnieje rozumna wolność wyboru pomiędzy łatwą i trudną. Zwierzęta, a tym bardziej rośliny, nie mogły jak istoty pozbawione intelektu, dokonywać wyboru w takim znaczeniu, w jakim wybrać może człowiek. Ich kierunek ewolucyjny nie był skutkiem ich zborowej, gatunkowej woli, gdyż w istnienie takiej można śmiało powątpiewać. Choćbyśmy chcieli jak najusilniej wychować pokolenie ludzi uskrzydłych, to sama nasza wola skrzydeł temu pokoleniu nie stworzy. Tak samo było i ze zwierzętami. Kierunek ewolucji kształtowany był nie przez same zwierzęta, lecz narzucony im właśnie przez naturę. Tworzyły go otaczające dane szczerpy warunki, ewentualnie wpływały nań mutacje, które jednakże też musiały być zależne od jakichś nieznanych nam czynników.

Podział na grupy rozwijające się i przystosowujące się jest pozbawiony jakichkolwiek przyrodniczych podstaw, gdyż właśnie, przystosowywanie się było niczym innym jak tylko rozwojem, a więc — postępowaniem. Buntowniczość skierowana przeciw naturze równoznaczna była zawsze z wcześniejszą, czy późniejszą za-

glądą. Ewolucja nie jest bowiem buntem, lecz właśnie włączeniem się w nurt przystosowawczy, w nurt, którym płynie wola natury skierowana ręką Stwórcy. „Dla przystosowujących się, nacelną formą jest korzyść — twierdzi profesor du Noüy — dla istot ewolucyjnych — wolność, oswobodzenie z wszelkich destrukcyjnych ograniczeń... Właśnie istoty poszukujące wolności podnosiły życie na wyższe szczeble.”

Na tym przykładzie uwidacznia się wyraźnie błąd konstrukcyjny profesora du Noüy, polegający na wprowadzaniu humanistycznych kryteriów do nauk przyrodniczych. Nie należy zapominać, że humanistyczne kryteria mogą przestać być właściwymi kryteriami w naukach ścisłych i — vice versa.

Co bowiem mamy rozumieć przez pragnienie wolności takich, lub innych istot? Można powiedzieć z całą pewnością, że istnieją stworzenia, które pozbawione swobody, tęsknią do niej z powrotem i trzymane w warunkach sztucznych, w warunkach więziennych nie mnożą się, tracą siły vitalne i zamierają. Pojęcie jednakże wolności jest tak nierozdzielnie związane z istotą człowieka, że trudno przypuścić, aby inne jakieś istoty mogły sobie zadować sprawę z tego, co oznacza poczucie wolności. Dać wolność i zabrać wolność, może w normalnym pojęciu tylko człowiek, bez względu na to, czy działa jako jednostka, czy społeczność.

Poszukiwanie swobody, a nie wolności (należy zrozumieć różnicę między tymi pojęciami) przez wszelkie istoty poza człowiekiem mogło być wynikiem tylko sztucznej gospodarki ludzkiej, n. p. początków hodowli. Uwięzione lamy, schwyte tarpany, osławiane wilki mogły tęsknić do swobody. Nie zapominajmy, że były to uczucia wywołane sztucznie samowolną gospodarką człowieka w królestwie zwierzęcym. Pojęcie takie, jak wolność, a co więcej, świadome dążenie do niego, do jego realizacji, w psychice żadnych istot poza człowiekiem istnieć nie mogło. Wolność jest cechą naturalną. Każde pozbawienie wolności wypływa z warunków sztucznych i z biologicznego punktu widzenia anormalnych. Każde pozbawienie wolności jest zjawiskiem przypadkowym i pociąga za sobą nieuchronne zakłócenie równowagi w przyrodzie, co, jak wiemy z historii, nie działa się przeważnie bez wpływu człowieka. Opanowanie intelektualne pojęcia wolności może być tak mocnym argumentem człowieczeństwa, jak pióro jest nieodzowną cechą systematyczną ptaków.

Na tym skończyłbym z zastrzeżeniami, które można by wysunąć z punktu widzenia przyrodniczego, ale chciałbym wnieść jeszcze jedno, z punktu widzenia chrześcijańskiego.

„Od tej pory — czytamy w omawianym artykule — aby iść naprzód

człowiek musi wypowiedzieć posłuszeństwo własnej naturze. Teraz już tylko jednostka jest ważna, a nie jak dawniej, gatunek.”

Sądzę, że nie wypowiedzianie posłuszeństwa naturze stawia nas, ludzi, na wyższym szczeblu od zwierząt, ale rozumne, świadome kierowanie tymi dobrami, w jakie wyposażała nas natura, utwierdza naszą godność człowieka. Zwalcianie natury, występowanie przeciwko naturze jest niczym innym, jak grzechem, a więc złem. Człowiek reguluje tylko szybkość, z jaką płynie łożyskiem potrzeb naturalnych. Ma możliwość przystawiania, odpoczynku, ma możliwość skorzystania z hamulców i z siły, która przyspieszy jego posuwanie się korytem wyźłobionym przez naturę. Katastrofą natomiast jest dla człowieka wyłanie poza brzegi nurtu, jak katastrofą dla lokomotywy jest wykojenie się, porzucenie wytyczonego szynami szlaku. Człowiek otrzymuje kierunek wyznaczony z góry. Ster łożdź osadzony jest na stałe, a przywilejem naszym jest używanie wiosła wedle naszych własnych chęci i potrzeb: chcę — wiosłuję, nie chcę — odkładam wiosło. Tu dano nam prawo wyboru i wolność, wolność płynięcia ku dobru. Dano nam nawet jeszcze więcej, możliwość sterowania. Ci jednakże, którzy wierzą, że ster nastawiony jest jak najlepiej, bezbłędnie — nie tykają go, inni sterują sami i — błędzą. Miał przybliżyć się, oddalają się, lub płyną dłuższą drogą.

Drugie zagadnienie, to: jednostka, czy gatunek? Co na pierwszym planie? Du Noüy stawia jednostkę.

Nie należy utożsamiać tego z pojęciem personalizmu, które to stanowisko w biologicznym ujęciu nie ma takiego znaczenia, jakie przypisywać mu możemy w naukach humanistycznych.

W przyrodzie, jednostki-osobniki są nierozdzielnie związane z gatunkiem. Troška o osobniki jest troška o gatunek; troška o gatunek jest troška o osobniki. Supremacja gatunku byłaby biologicznym odpowiednikiem rasizmu, supremacja jednostki — odpowiednikiem atomizmu. Należy zrozumieć, że pojęcia gatunku i jednostki wiąże się ze sobą w sposób nierozdzielny, że gatunek wyznaczony jest przez jednostki, a jednostki dzierżą w swej mocy los gatunku. Wygrywanie którejkolwiek ze stron kosztem drugiej, jest z punktu widzenia przyrodniczego nieporozumieniem. Jest to usiłowanie karmienia węża jego własnym ogonem.

Du Noüy, nazwany przez „Znak” świadkiem wiary, wykazuje w swym podejściu paniczny strach przed ewolucją, nazywa ją dramatem i wikała się w przelicznych trudnościach, szukając religijnej recepty na szereg zjawisk przyrodniczych.

W tymże samym numerze „Znaku”, rozwiązuje tę kwestię w sposób spokojny i pełen godności, kardynał Achilles Liénart, nie ulegając tak panikarskim nastrojom, jakie cechują du Noüy'a.

Kwestia stosunku chrześcijaństwa, a szczególnie katolicyzmu do ewolucji, została chyba najlepiej sformułowana przez Guiberta, który powiedział: „Nas fakt ewolucji w żaden sposób nie prowadzi do teorii ewolucjonistycznej, usuwającej Boga ze świata; przeciwnie, dla nas fakt ewolucji, gdy mu się przyjrzymy, wywołuje uczucie czci dla mądrości i potęgi Stwórcy.”

M. A. Wasilewski

Panu prof. dr Romanowi Kozłowskiemu składam serdeczne podziękowanie za cenne poprawki i uwagi udzielone mi w związku z powyższym artykułem.

Autor

¹⁾ Pisząc „Kły”, popełniam oczywiście błąd, jaki zyskał sobie prawo obywatelstwa w mowie potocznej. W rzeczywistości, t. zw. „kły” słoni, czy mamutów, są siekaczami, a nie żadnymi kłami. Jednakże gdy mowa o „kłach”, jak wyobraża sobie, to o co, chodzi przyrodnikowi, gdy powie: siekacze.

²⁾ Tym razem chodzi już rzeczwiście o kły.

³⁾ Ludwik Dollo — znakomity paleontolog belgijski, rozwinął metody Kowalewskiego.

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwpiorowe tłoczne

Fachowa produkcja do
władzenia i umiarkowanej
baju, nam opnie klienteli
niezmiennej doskona-
łości naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
„IWIS” SP. AKC. GRODZISK MAZ., J. SPÓŁDZIELCZA 2 w 706

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Szanowny Kolego Redaktorze

Po ukazaniu się moich ostatnich fragmentów powstańców z „Dziś i Jutro“ otrzymałem liczne listy od naszych Czytelników z zapytaniami. Na wiele nie umiem odpowiedzieć, więc starym zwyczajem zwracam się do naszych Czytelników, może Oni będą mogli udzielić odpowiedzi. Myślę, że i tym razem Kolega Redaktor zamieści tę listę.

Pani Julia Balińska, Nowy Chrzanów, około Włoch, ul. Centralna 47 zapytuje o swojego syna Edwarda, pseudonim „Ciocia“ z I kompanii batalionu „Zośka“. Miał być ciężko ranny w kregosłup. Matka prosi o wiadomość gdzie został pochowany.

Pan Jan Obalski, Warszawa, ul. Bolesława 37 zapytuje o swoją córkę Janinę, pseudonim „Murzynek“ ze 104 kompanii Syndykalistów Polskich. Była ranna 2 września na Starym Mieście, na ul. Długiej 27, zmarła z ran. Rodzice proszą towarzyszy broni o szczegóły jej śmierci.

Pani Helena Prokopowicz, Warszawa, Saska Kępa, ul. Zwycięzów 37, zapytuje o swojego syna Tadeusza, który miał prawdopodobnie pseudonim „Kropka“. Walczył w pułku dyspozycyjnym Komendy Głównej A. K. „Baszta“. Prawdopodobnie zginął w dniu 1 sierpnia na Służewcu i tam pochowany. Przy ekshumacji matka nie poznała szczątków i prosi o wiadomości.

Pan Stefan Szefer, Zielonka, ul. Długa 27, zapytuje o swojego bratanka Zbigniewa Osuchowskiego — kaprala „Zycha“ z batalionu „Kilński“. Jeden z towarzyszy broni twierdzi, że zginął w końcu sierpnia około Poczty Głównej.

Pan Stefan Wejroch, Warszawa, ul. Noakowskiego 12, zapytuje o syna Jerzego, lat 19, prawdopodobnie miał pseudonim „Jurek“. Towarzysze broni twierdzą, że zginął w pierwszym dniu powstania w ataku na fort Mokotowski kompanii Oj. Wszelkie poszukiwania rodziców nie dały dotąd żadnych wyników.

Jan Maciejewski, Zduńska Wola, ul. Piaskowa 5, poszukuje syna Tadeusza, który zginął w 1939 roku, tymczasem nazwisko i imię jego podane jest na liście poległych w powstaniu ogłaszanej w „Słowie Powszechnym“.

Pani Apolonia Szuszyńska, Warszawa, ul. Leszno Nr 83 m. 17, prosi o bliźsze dane o swoim synie pseudonim „Sas“ który zginął śmiercią bohaterską w ataku oddziału powstańczego z ulicy Oboźnej na Uniwersytet Warszawski, w pierwszych godzinach powstania. Za bezprzekładną odwagę otrzymał Order Virtuti Militari. Matka chciałaby dowiedzieć się numeru rozkazu, w którym został odznaczony jej syn. Towarzysze broni twierdzą, że ów rozkaz był odczytany w dniu 15 sierpnia w grupowaniu kapłana Krybara na Powiślu.

Pani X prosi o szczegóły śmierci łączniczki Marii Zakrzewskiej, pseudonim „Marycha“ z batalionu „Parasol“ zginęła w dniu 27 sierpnia w pałacu Krasieńskich.

Pani Zofia Michałowska, Warszawa, Kozielskiego 10 m. 8 u pp. Ostrowskich, zapytuje o swojego męża Stanisława, pseudonim „Grzegorz“. Jako porucznik walczył w rejonie P. K. O., był ciężko ranny zraniony do szpitala na ul. Złota w który uderzyła bomba. Wszelkie śledztwa nie przyniosły rezultatów. Zofia nie może nadać oddziału w jakim walczył. Z koleżeckim pozdrowieniem

Stanisław Podlewski
Warszawa, styczeń 1949 r.

TYPOWA KOBIETA

Pani Czyżowa to typowa kobieta, „Nie zamierza przedłużać polemiki z Józefem Majkutem“, ale polemizuje. „Nie może być w ogóle mo-

wy o dyskusji“, ale dyskutuje. „Ostatnie słowo“ tylko. Czyżby?

Podobną logiką, tym razem nie postępowania, ale rozumowania, odznacza się konkluzja tego „ostatniego“ (oby „słowa“, w której przypisuje Majkutowi następującą postawę: „ja mam prawo nie mieć racji, ponieważ moja matka była analfabatką“). Wszystko to wydrukowane w najlepszej wierze w 1—2 (180—181) numerze przez redakcję „Wsi“.

Od takich kwiatków rosi się cała Jej nota. Już tytuł jej (noty) jest dwuznaczny. „Wolny najmiła za łyżkę barszczu“. Czy wyraża on pogardę, czy podziw? Może jedno i drugie? Pogardliwy podziw, czy zdziwiona pogarda? Jabym raczej, jako człowiek dobrej woli, podejrzewał podziw. Tytuł ten bowiem oznacza dosłownie, nie, w przenośni, człowieka ideowego, który, acz licho płacony, pracuje dla słusznej sprawy. Bo jeśli inaczej, jeśli tytuł wyraża materialistyczną pogardę dla ideowości i ulegania wyśkokowi to chyba słuszna będzie zażość, z jaką będą się pytać sam siebie: ile też ta pani Czyżowa musi zarabiać we „Wsi“ za swoją bezideowość? Ile polców stoniny, ile metrów pszenicy od każdej nielogicznej noty?

W czym Majkut nie ma racji? No, największym jego absurdem jest jego potężny talent, dzięki któremu pomógł on aż pięciorgu wiejskim dzieciom. Tylko jednym reportażem. Dla Pani Czyżowej to

głupstwo. Ona ma szersze serce. Ona chce wykształcić dziesiątki tysięcy chłopskich dzieci. To bardzo pięknie, należy zażość takiej rozległości uczuć. Ale, czy Majkut temu przeszkadza? Czy neguje? Sam, jeśli się da, zrobi, co może, żeby to przyspieszyć. Ale, jeśli, czego się sam nie spodziewał, znalazł aż taki oddźwięk, to należy pochwalić i jego talent i jego formę, które tak chwyciły za serce czytelników, że zaopiekowali się **wszystkimi** dziećmi, o których pisał. Czy może się Pani pochwalić podobnym skutkiem całej swojej wielomównej pisaniiny? Ja się tym pochwalić nie mogę. Ale też za to podziwiam Majkuta i pod niebiosa wynoszę czytelników „Dziś i Jutro“, wśród których jest tylu ludzi szlachetnych. Może Pani nigdy nie doświadczyła, co to znaczy serce ludzkie, to i trudno się dziwić, że je Pani lekceważy. Ale, gdyby chłopscy literaci pisali wszyscy podobnie, to nie tylko wykształciłby wartościowych ludzi (bo serce budzi w wychowankach serce, a człowiek z sercem jest więcej wart od miliona ludzi martwych), ale i przyspieszyłby znacznie powszechność oświaty i podniesienie prawdziwej kultury. Nie, oni wolą się oglądać na bezosobowe, wszechmocne i wszechmiłosierne organizacje, a samym przesywać piasek. I jeszcze jedna uwaga mój się nasuwa w związku z szerokim sercem. Z logiki wiadomo, że w miarę rozszerzania się zakresu pojęcia, spłyca się proporcjonalnie jego zawartość. Coś podobnego, mam podejrzania, jest w wypadku szerokiego serca. Kto zapewnia, że kocha wszystkich, ten, kto wie może nikogo nie kocha naprawdę. Miłość bowiem okazuje się wobec tych, o których się wie, których się widzi. Ale deklamować można o wszystkim, bez odpowiedzialności osobistej.

Nie wiem, co sądzić o urazach wykształconych chłopów, o których pisze z przekąsem pani Czyżowa. Nie mam przeżyć, związanych z tym,

choć rozgłaszać swojego pochodzenia nawet nie potrzebowałem, bo mam je wypisane na twarzy i w całym obejściu. Może Pani je ma? Skoro pisze? Skoro Majkuta o to posadza? Ale wiem, co sądzić o innym ustępie jej noty, w którym mówi, że Majkut nie poszedł gdzie indziej, niż do „Dziś i Jutro“. Przypuszczając należy, że ma na myśli „Wieść“. Ale na to „trzeba by za dużo wysiłku: zdecydować, przedstawić się, douczyć“. Czy Pani naprawdę sądzi, że ktoś uwierzy w taki fenomen, żeby chłopski syn, który się kształcił nigdy nie zetknął się z kolegami ze wsi? Byli oni wszędzie razem, w szkołach, organizacjach, nawet razem mieszkali. Nie, nie trzeba się przedstawiać, ani decydować. Trzeba się tylko „douczyć“. Czego? Czy filozofii, posiadając znajomość wielkich poetów, pisarzy, jakich wydała ludzkość i którzy są skarbem wspólnym wszystkich, nabyć smaku w sztuce? Gdzie tam. Z tych zainteresowań śmieli się moi koledzy. Natomiast trzeba się było nauczyć myśleć tak, jak oni i ich przywódcy. W praktyce oznaczało to oduczenie się tego, czego uczyła analfabeta matka (bo i moja była taka). Wiary w Boga, miłości do Chrystusa Pana i Jego Matki, a przyjęcie na ich miejsce przywódców organizacyjnych. Kto mówi różnec, ten był idiota, choćby znał wszystkie nauki. Ale cóż, nie każdy się na to godził. Nie każdy chciał się wyrzec matki, uznać ją za głupią, po to tylko, by móc zdobyć koleżeństwo inteligentów ze wsi. Tym bardziej, że każdy krok w życiu i każda okoliczność umacniała przekonanie o słuszności nauczania tej matki analfabety, która w tym była równie mądra, jak najwięksi ludzie świata.

Ale po co to pisać? Żeby znów usłyszeć argument, że nie mam racji, bo miałem matkę analfabatkę?

Z. Jakimiak

Nabyć, czytać, nie czytać...

Maria Zarebińska - Broniewska: Opowiadania oświecimskie, Sp. Wyd „Książka“, W-wa 1948, str. 70.

Książka ta, bezpretensjonalna w swoim wyrazie literackim a głęboka w przeżyciu jednego z najtraficniejszych błędów ludzkości, jest jeszcze jednym dowodem, że nie przedko uporammy się z tematyką oświecimską w naszej literaturze współczesnej, że — przewyżczając wojnę z jej wszystkimi konfliktami politycznymi, społecznymi a przede wszystkim moralnymi, — nie raz jeszcze będziemy — mimo narastającej niechęci, lęku i wygodnictwa — do problemu drutów kolczastych i pieców krematoryjnych wracali.

Maria Zarebińska - Broniewska wybrała najtrudniejszą chyba, choć pozornie tak prostą drogę powrotu. Aby przewyżczyć w sobie tamte dni, wyzwolić się z nich (bo to chyba jest głównym motywem tego typu relacji) opowiedziała o nich wszystko, co ją oświecimie najbardziej poruszyło, najgłębiej bolało, największą napawało goręczą, bólem i siłą przetrwania. To subiektywne kryterium selekcji jest niezaprzeczną wartością „Opowiadań oświecimskich“. Widzimy los jednego z wielu ludzi, los jednostki, która wyrażając siebie, wyraża wiele najistotniejszych przeżyć ogółu. Nie chcemy przez to powiedzieć, że płyną stąd specjalne przywileje dla formy pamiętnika, że powieść, nowela, drama czy inna bardziej złożona konstrukcja literacka nie mają żadnych szans w akcji przewyżczającej wojny. Mała, ale mała i to tylko w rękach prawdziwych mistrzów pióra. Autorka „Opowiadań oświecimskich“ z godnym szczerze pochwałą umiarem mierzyla zamiary na siły. Chciała wyrazić osobiste (a przez to jednocześnie bardzo ogólnoludzkie) przeżycia obozowego koszmaru i udało jej się to w zupełności, czytawista w tej mierze w jakiej w ogóle słowo może wyrazić przeżycie

Prosty, wyrazisty styl, nacechowany niezwykle szczerością wypowiedzi (która może jedynie w końcowym rozdziale pamiętnika zasnuwa się trochę mgłą ogólników) pozwala, a raczej nakazuje czytelnikowi współprzeżywanie, współcierpienie i współtesknotę do lepszego, czystsze życie, która kryje się na dnie wszystkich wspomnień autorki. A to bardzo duże osiągnięcia.

Al. Weysenhoff-Zielewiczowa: Do domu!, wyd. Milicji Niepokalanej, 1948, str. 176.

Książka Zielewiczowej należy do rosnącej z każdym rokiem literatury obozowej. Stanowi ona przeważający liczbowo w tej literaturze rodzaj pamiętnika, w którym element fikcji zredukowany do minimum (bo tylko chyba w warstwie werbalnej doszukać go się można) zastąpiony został autopsją czułością i bezpośredniością wspomnień. Wspomnienie jednak wspomnieniu nie równe. Zielewiczowa pamięta momenty przeważnie zatrważające o dramacie sceniczny o tragicznych chwilach literacko przeżywanym (tak np. „Maruszkowa“). Nie jest to zastrzeżenie próba podważania autentyczności opisywanych przeżyć. Chodzi raczej o nieporadność opisu. Przymiotniki „straszny“, „okropny“, „bolesny“ itp. w kontekście wspomnień oświecimskich — nie mówią, rażą ba-

nalnością, są zbędne. Nie one mają w czytelniku ewokować uczucia, ale zespół faktów, przeżyć, których są wyrazem. Jaśniej: autorka nie zrezygnowała z literackich walorów opowiadania, jakim są i charakterologiczne wstawki i ideologiczne komentarze, ale w swoim zasobie możliwości musi stwierdzić brak. Słowo Zielewiczowej, trochę sentymentalne i naiwne chwilałami w bardzo przykry sposób kontrastuje z grozą i wielkością problematyki. Problematyka dusi się w tej książeczce, która — jak informuje wstęp — zrzeka się wszelkich pretensji literackich. Jest w opowiadaniach Zielewiczowej coś, co sprawia wrażenie, że autorka nie przeżyła do głębi tamtych koszmarnych dni, że bolały ją i uginają jarzmem tragicznych godzin, ale nie dotarły do głębi, nie przeorały najskrytszych zakamarków duszy, nie wydołyły z niej najtrudniejszych i najgłębszych prawdy. To „coś“ to powierzchowność obserwacji, zewnętrzność relacji, która nie tłumaczy się behaworyzmem, ale — słabością pióra, nieumiejętnością patrzenia i pamiętania. Mimo tych braków, które nie pozwalają książce uznać za dokument tamtych dni, można we wspomnieniach Zielewiczowej — a nawet trzeba — doszukać się dokumentu nieporadności wobec tematu. A to też coś znaczy.

Nadesłano

WYDAWNICTWO
WŁADYSŁAWA RAKA
ŁÓDŹ — WROCŁAW

L. Turgeniew — DYM, tłum. dr T. Stepińskiego wstęp, prof. Zawodźni J. I. Kraszewski — OSTATNI 7 SIEKIERZYŃSKICH — Historia szlachecka — str. 226.

WYD. EUGENIUSZA KUTHANA
Adam Krzyżanowski, prof. uniw. Jagiellońskiego — CHRZEŚCIJAŃSKA MORALNOŚĆ POLITYCZNA.

WYD. PRASA WOJSKOWA
SPORT W ZSRR — ORGANIZACJA, ROZWÓJ I OSIĄGNIĘCIA — praca zbiorowa, str. 273, obwoluted projektował M. Berman.

Zwomunt Wielicki — PLYWANIE CRAWLEM — nauka, sposoby doskonalenia, str. 113.

Fadiejew — MŁODA GWARDIA, powieść, przekł. Leopolda Lewina, obwoluted proj. M. Berman, str. 671.

Władysław Niemcow — NIEWIDZIALNE DROGI, przekł. Wł. Kawka, ilustr. i oprac. graf. W. Kubińskiego, obwoluted M. Bermana, str. 151.

WYD. „AWIR“ — WARSZAWA
W. J. Johns — SKARB DZUNGLI, powieść, tłum. A. Stolfy, okł. J. Karolak, str. 189.

INSTYTUT WYD. „KULTURA“
POZNAŃ

Ks. M. Buławski — KAZANIA NIEDZIELNE, wyd. II, str. 304.

Ks. dr Piotr Chojański, prof. U. W. — FILOZOFIA TOMISTYCZNA I NEOTOMISTYCZNA, str. 177.

Ks. Teodor Nogala — TAKICH JEST KRÓLESTWO NIEBIESKIE, krótkie kazania dla dzieci, wyd. II, str. 98.

Dr Z. Baranowski — MIŁOŚĆ W MAŁŻENSTWIE, wyd. II — szkoła współżycia małżeńskiego, str. 64.

NAKŁ. IRENY OCHWANOWSKIEJ — SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA E. SUCHAŃSKIEGO — RADOM

Tadeusz Kordyasz — ZAKON MIŁOŚCI — 1948, str. 114.

WYDAWNICTWO MARIACKIE
KRAKÓW

Ks. dr Kazimierz Kłószak — MATERIALIZM DIALEKTYCZNY — studia krytyczne, str. 106.

Jan Henryk Newman — APOLOGIA PRO VITA SUA — przekł. z oryg. ang. i wstęp St. Gąsiorowskiego, prof. U. J., str. 318.

WYD. „PALLOTINUM“ — POZNAŃ

Morcinek Gustaw — BYLI DWAJ BRACIA — wyd. IV, str. 184.

Hermann Wilhelm — OJCIEC DAMION — tłum. I. Jaworowicz, str. 307.

Kossak Zofia — GOŚĆ OCZEKIwany — obraz sceniczny w 5 odsłonach, str. 117.

NAKŁ. GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

H. Boguszewska i J. Kornacki — JADA WOZY Z CEGLA — powieść wyd. II, str. 254.

K. Zenon Skierski — U PRZYSTANI — 1948, str. 282.

WYD. „ALBERTINUM“ — POZNAŃ

Pia Górka — TARCZA I KAPTUR — powieść z XIII w. z 8 drzeworytami Edw. Kuczyńskiego, 1948, str. 206.

WYD. CHŁ. TOW. PRZYJ. DZIECI
WARSZAWA

Janina Wójcicka — DZIECKO WSI — 1948, str. 48, ilustr. Jaga Bezdziwkówna.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„WIEDZA“

Victor Hugo — ROK 1793 — powieść, przekł. Juliana Malinika, okł. I. Wiatra, 1948, str. 433.

WYDAWNICTWO S. ARCTA
WARSZAWA

St. Szuchowa — GOSPODARSTWO MADZI I JACKA — ilustr. L. Jagodzińskiego, 1948, str. 62.

PAŃSTW. INSTYTUT WYDAWN.
WARSZAWA

Karol Koźmiński — SUŁKOWSKI, JAKOBIN POLSKI — okł. Zofii Fiłakowskiej, str. 163.

Zofia Nałkowska — CHARAKTERY DAWNE I OSTATNIE — okł. N. Jarczewskiej, str. 131.

A. L. Morton — DZIEJE LUDU ANGLEJSKIEGO — przełożył z oryg. ang. J. B., okł. Bernacińskiego, 1948, str. 363.

St. Wypiański — WARSZAWIANKA — pieśń z 1831 r., oprac. i wstęp J. Saloni, 1948, str. 120.

Mieczysław Rulikowski — PRZYSZŁE TEATRY W WARSZAWIE — przedr. i odbitka z msc. „Teatr“, 1948, str. 46.

PILNIE poszukuje książek: Michał Janik „Hugo Kolla“ i Wacław Tokarz „Ostatnie lata Hugona Kollataja“. Zgłoszenia do Administracji „Dziś i Jutro“, Warszawa, Marszałkowska 81 m. 17 pod J. N. D.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto PKO — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych, kwartalna 180 złotych
B-66660